AS



Nr. 24
14 CZERWCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

POSĄGOWA PIĘKNOŚĆ...

Lynn Bailey, wybrana królowa modelek w Hollywood.

Czy masz bujną fantazję?

Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

Konkursy! Konkursy!

Było to po rozstrzygnięciu konkursu „Asa" na najnieprawdopodobniejsze głupstwo. Obładowani „forsą" laureaci, otoczeni gawiedzią, która nigdy nie widziała emblematów ich sławy, kroczyli dumnie przez rynek krakowski i chwytali dymy kadzideł i okrzyki entuzjazmu tłumów w kieszonkowe zbiorniki, przewidując chytrze, że i z tego da się coś zrobić!

Ponieważ redakcja „Asa" zastosowała się lojalnie do znanych z praktyczności pomysłów laureatów, co do materjału i sposobu wykonania oznak ich wyróżnienia — korona króla była sporządzona z azbestu, aby nie stopiła się od żaru jego genjalności, zaś ogromne klucze szambelańskie były z pneumatycznej gumy!...

Honorowy oddział milicji „Asa", uzbrojony dyskretnie w 3 karabiny maszynowe, w celu uchronienia nietylko dostojeństwa, ale i 200 zł., jakie „w kupie" posiadali laureaci — eskortował ich do Hawełki.

Tutaj po postanowieniu wybudowania za zdobyte w konkursie kapitały „Pałacu Głupstwa" (vis á vis Pałacu Prasy) i założenia (o czarna niewdzięczności!) konkurencyjnego tygodnika p. t. „Kanarki w garści" — przyjęli laureaci ofertę Hawełki na urządzenie na dachu projektowanego drapacza przystani gastronomicznej dla spodziewanych wycieczek samolotowych i zainkasowali wadjum w postaci paru „wzmocnionych".

Odwiedziwszy jeszcze kilkaset lokali i odliczywszy „na wszelki wypadek"... pierwszą dwójkę z posiadanych kapitałów — zdeponowali resztę gotówki w banku, a wziąwszy króla w środek — odbili się od ziemi zapomocą... szambelańskich kluczów i zniknęli w stratosferze, aż... do nowego konkursu!

W. B.

Smakosz.

Na pewnej wyspie zamieszkanej przez ludożerców, panował szalony głód, spowodowany zupełnym brakiem jadalnej roślinności, a wszelkie ptactwo, jakby przeczuwało pewną zgubę, omijało tę wyspę. Ludzie tam również nie zaglądali, bo gdy tylko ich noga stanęła na niej, bywała pożarta wraz z tułowiem. To też liczny szczep z biegiem czasu wymarł z głodu lub też poległ w bratobójczych walkach, gdzie chodziło głównie o pożarcie się nawzajem. Aż kolej przyszła na ostatniego. Ten posiliwszy się resztkami swych kolegów, został bez żadnego pożywienia. Po kilku dniach postu widząc przed sobą straszną śmierć głodową, postanowił spożyć swoje własne części ciała. I tak z nogi zrobił sobie doskonałą galaretę, z „wyższych" części pierwszorzędną szynkę. Na następny dzień miał pasztet z wątróbki, nereczki i wyśmienite płucka, lecz łakomstwo go zgubiło, bo gdy później zjadł znowu kęs mięsa przekonał się, że pozostała mu jedynie głowa, jednak po dwóch dniach głodówki oblizawszy się ze smakiem zjadł swoją własną głowę. **Leon.**

A to szczęściarz!

Kon — będąc kupcem branży kolonjalnej — razu pewnego wyjechał w sprawach handlowych do kolonji na dalekiej północy, gdzie miał zamiar zakupić obszar plantacji drzewa korkowego. Razu pewnego — gdy Kon przechadzał się wśród zrzadka tu spotykanych drzew korkowych, graniczących tuż z bezdrzewną pustynią północnej dżungli — nagle dał się słyszeć przeraźliwy syk — i nim Kon zdołał zebrać swe myśli — został zaatakowany przez olbrzyma — węża okularnika. Broni żadnej nie posiadał, bowiem hołdował zasadzie: „kto mieczem wojuje — ten od miecza ginie" — na ucieczkę zaś było zapóźno.

Zdany na łaskę losu — zwrócił swe błagalne oczy hen ku wyżynom gór Himalajskich, a trzymaną laską począł bezładnie wywijać — i oto posłyszał brzęk tłuczącego się szkła. To okularnik trącony laską stłukł swe okulary — tracąc temsamem z oczu swą ofiarę i jako zwyciężony corychlej opuścił pole walki, pozostawiając Kona w spokoju. **Ed-wich.**

Złośliwy pies.

Będąc małym chłopcem, bawiłem się stale z moimi rówieśnikami u mieszkającego opodal sąsiada, który posiadał duży park, gdzie rolę stróża pełnił, lubiany przez swego pana, wielki biały, okrutnie złośliwy pies. Pies ten prześladował nas stale podczas zabawy, niwecząc wszelkie nasze „wyprawy i podboje", obrazem czego były nasze spodnie, potargane nieraz w strzępy. Wiedziano wokoło, że psisko rozdzierał bezlitościwie wałęsające się obce psy i koty.

Jednego razu postanowiliśmy spłatać psu figla. Korzystając z chwilowej jego drzemki farbą czarną pomalowaliśmy go zupełnie. Gdy pies zbudził się nie poznał siebie. Złowrogo zawarczał i ku naszemu zdziwieniu, po chwili zażartej walki ze sobą, zagryzł siebie samego.

Właściciel znalazł swego psa nieżywego, z przegryzionem gardłem i z żalu za wiernym psem tak się rozpłakał, że musiano wzywać straż pożarną, dla usunięcia ogromnej kałuży łez, w której nasz sąsiad omal się nie utopił.

Pomysłowy farmer.

Pewien farmer wpadł na pomysł zwiększenia nośności jaj u kur. W tym celu wybudował ogromną halę, w której okna znajdowały się na dachu. W hali umieszczone zostały odpowiednie urządzenia dla kur oraz ogród warzywny a nawet sad. Wreszcie farmer przystąpił do urzeczywistnienia swego pomysłu.

Około południa, gdy już wszystkie kury zniosły się, okna znajdujące w dachu, przez które dostawało się światło dzienne, zostały stopniowo zasłaniane aż do zupełnej ciemności. Kury sądząc, że zapadła noc zasypiały i po paru godzinach, po odsłonięciu okien, z głośnem gdakaniem zniosły po raz drugi jaja. Nietylko kury zostały „oszukane", ale i znajdujące się w hali drzewa poczęły dwa razy do roku wydawać owoce.

Obecnie farmer ma zamiar podzielić dzień na trzy części, by tym sposobem jeszcze zwiększyć nośność jaj u kur.

Osobliwości podkrakowskie.

Pod Krakowem w mieście Skawinie, jednej z ówczesnych rezydencyj Kazimierza Wielkiego, skądinąd słynnej z produkcji sławnej na cały świat cykorji „Prawdziwej", rozlegają się olbrzymie plantacje tej szlachetnej rośliny, tudzież Zakłady Przemysłowe. Jako osobliwość turystyczną pokazują tam oswojonego lwa, spacerującego samopas w terenie. Lew ten pozostaje w ścisłym związku z gigantycznemi urządzeniami technicznemi tych zakładów, w szczególności z działem księgowości. Zapisują tu olbrzymie ilości foljałów, a do osuszania, zamiast bibuły, służy miałki piasek, sprowadzany wprost do zbiorników. Za naciśnięciem kontaktu wysypuje się potrzebny piasek wprost na zapisane foljanty. Razu pewnego wysypał się z piaskiem lew. Nagłe pojawienie się króla pustyni w biurze, wywołało zamęt i konsternację. Więcej od płci pięknej biura, wylękniony był lew, a wobec agresji nadchodzących woźnych z drągami, dał susa i przez otwarte okno wyskoczył do przyległych plantacyj, gdzie się ukrył wśród bujnej, egzotycznej roślinności. Dopiero po latach bezskutecznych poszukiwań odnaleziono go oswojonego i zgrzybiałego z dziwnie krótkiemi łapami. Łapy poprostu starły się do kolan, co zresztą było zrozumiałem. Przecież król pustyni w latach swego wygnania przespacerował setki tysięcy kilometrów na plantacjach. Potwierdziły to zresztą badania naukowe. Jako pożywienie służyła królowi pustyni cykorja, pod wpływem czego ustąpiła też jego dzikość. Od tego czasu też łowcy lwów w pustyni podrzucają cykorję i z łatwością i całkiem bezpiecznie zabierają swoją zdobycz. Mimo, że wydarzenie powyższe miało miejsce na początku XX w. lew do dnia dzisiejszego czuje się dobrze i jako okaz pokazywany jest turystom przez Zarząd Zakładów. **„Emstan".**

Spieszący się zegarek.

Tydzień temu miałem b. niemiłe zdarzenie. Byłem na zebraniu, które aczkolwiek interesujące, przeciągało się w nieskończoność. Raz po raz wyciągałem zegarek i stwierdzałem z przerażeniem, że spóźnię się do domu na kolację. Bura pewna, bo wiadomo, jak żony odnoszą się sceptycznie do zebrań nawet najautentyczniejszych. Nareszcie koniec! Wychodzę i jeszcze raz pragnę zobaczyć godzinę. Ale cóż! Zegarek zniknął! Rozpacz! Jak to wszelkie nieszczęścia naraz spadają na biednego człowieka! Bura od żony, a teraz zguba cennego zegarka!

Ale nie czas teraz na poszukiwania. Wpadam zziajany do mieszkania, aż tu wzrok pada na mój własny zegarek! Leży najspokojniej na stoliku pod lustrem.

Zdziwiony niezmiernie, wybrałem się nazajutrz raniutko do zegarmistrza, by mi ten niezwykły fakt wytłumaczył. Ten, z miną fachowego lekarza zegarków, wyjaśnił mi, iż takiego zegarka nie powinienem używać, gdyż się zanadto spieszy i z tego powodu był prędzej w domu, niż ja... **Mitsuko".**

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 24 **Niedziela 14 czerwca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 24-GO:



Fot. New York Times — Londyn.

Życie współczesne wykazuje tyle przeciwieństw i paradoksów, jak może żadna inna epoka. Z jednej bowiem strony jesteśmy świadkami olbrzymiej propagandy pacyfistycznej z Ligą Narodów na czele, — z drugiej zaś wszystkie państwa prześcigają się w zbrojeniach. Jedną i tą samą ręką nieomal podpisuje się pakty nieagresji... i podkłada ogień pod beczkę z prochem! Maszyna „si vis pacem, para bellum" stał się wykładnikiem tej dosyć mętnej z punktu widzenia logicznego ideologji. Oto mamy na naszem zdjęciu jeden z wielu przykładów tej dwoistości psychologji współczesnej: kapłani japońscy zaopatrzeni w maski gazowe i stalowe hełmy biorą udział w pochodzie, mającym zademonstrować gotowość narodu japońskiego do wojny, podczas gdy równocześnie w licznych świątyniach buddyjskich odprawiano nabożeństwa na rzecz utrzymania pokoju!

POLESIE

EGZOTYCZNA KRAINA

Ktokolwiek interesuje się Polesiem, temu dobrze znane jest nazwisko hr. Zofji Chomętowskiej. Niema bowiem książki, broszury czy artykułu, poświęconego tej pełnej niesamowitego uroku krainie, których nie ozdabiałyby przepiękne i wysoce artystyczne zdjęcia hr. Chomętowskiej.

Trzeba bowiem, tak jak ona ukochać Polesie, tam się urodzić, wychować, mieć je we krwi i tradycji rodowej, by na soczewkę aparatu pochwycić to, co widzą rozmiłowane oczy, oddanej całem sercem swej krainie, Poleszuczki.

Hr. Zofja Chomętowska pochodzi ze starej, od lat osiadłej na Polesiu rodziny książąt Druckich-Lubeckich. Przez jej dwór, przesuwa się szereg wybitnych malarzy i literatów, którzy dzięki tej gościnie mają sposobność zetknięcia się z pięknem tutejszej przyrody. Odwiedzają Porochońsk przedstawiciele świata sztuki zagranicznej, znajomi i przyjaciele p. Chomętowskiej z jej wycieczek po świecie. Wszystkich zaciekawia i zachwyca ta dziwna kraina.

Sama zaś swemi artystycznemi zdjęciami poleskiemi, dokonanemi wyłącznie aparatem „Leica“, obsyła liczne wystawy i konkursy fotograficzne w kraju i zagranicą, odnosząc wszędzie ogromny sukces. Na Jesiennych Salonach Paryskich została dwukrotnie nagrodzona, jak również zdobyła dwie nagrody na Międzynarodowych Konkursach Fot. w Niemczech. Tosamo w Antwerpji, Pradze a pozatem niemal na wszystkich polskich wystawach i konkursach fotografiki, zdobywa nagrody i wyróżnienia. Pisma fachowe tak nasze, jak i zagraniczne zamieszczają stale pochwalne krytyki o jej pracach. *Red.*



Wiatrak na Polesiu.
Fot. Dr Wieczorek, Zakopane.

Kraj moczarów i bagien! To zwykłe określenie, jakie się we wszystkich częściach Polski słyszy na temat Polesia, tak weszło w mózgi, że dużo jeszcze wody upłynie w Prypeci, zanim się Polacy zorjentują, co to właściwie jest Polesie i jak ono istotnie wygląda „od środka“. Powie ktoś — wschodnia kresowa prowincja Polski. Oczywiście — prawda. Powie inny — kraj moczarów i bagien. Też prawda.



Na wodach poleskich. *Fot. Z. Chomętowska — Warszawa.*



Na lewo: Stary Poleszuk
Fot. Dr Wieczorek, Zakopane.

Nieprawdą jest tylko to, co sobie pod temi pojęciami wyobrażamy, dopóki nie widzieliśmy na własnec oczy tego prawdziwego egzotyzmu krajobrazowego, obyczajowego, obyczajowego i etnograficznego Polski współczesnej.

Polesie jest tak tajemnicze, jak tajemnicza jest dusza ludu, zapadłego od wieków w bagna, jak tajemnicze są otchłanie zdradliwych, a cichych oparzelisk. Niejedno życie ludzkie zginęło tam bez śladu, bez krzyku, bez krzyża mogilnego, gdyż niewiadome jest miejsce mogiły. Tam życie często się zapada w dosłownem znaczeniu tego słowa. Zapada się bez ratunku, powoli, ze strasznym jakimś fatalizmem i przypomina ostatnie gasnące sepojrzenie nieszczęśnika na piękne poleskie niebo. A potem już ostatni bulgot, jeszcze jakieś echo, jakiś trzask gałęzi i cisza wieczności, która zdaje się unosić nad całym obszarem tego niezwykłego kraju.

Polesie jest niedostępne. Oczywiście dla wytrawnego piechura i wioślarza nie byłoby tam zbyt wielkich trudności do pokonania, gdyby nie zasadnicza trudność orjentacji w terenie w pewnych porach roku, gdy stan wód jest bardzo wysoki. Normalna zdolność orjentacyjna turysty może na Polesiu odmówić posłuszeństwa i doprowadzić do załamania nerwowego, podobnie, jak to się dzieje w górach w czasie mgły, gdy najbardziej znany teren staje się trudnością nie do pokonania. Kto, zapuściwszy się niebacznie w nieznane sobie ostępy poleskie, lekceważyłby moment niebezpieczeństwa, może tę zuchwałość przypłacić w najlepszym razie kompletnem wyczerpaniem wskutek wielogodzinnego błądzenia. Nie można tutaj dać się złudzić zdolności orjentacyjnej ro-

Na prawo: Kobieta nad wodą.
Fot. Z. Chomętowska, Warszawa.





„Kureń" na jeziorze Cholcza na Polesiu.
Fot. Z. Chomętowska, Warszawa.

dowitego poleszuka, który nawet w nocy potrafi znaleźć drogę wśród bezmiernego labiryntu wiosennych wód, kierowany instynktem pierwotnego człowieka, jakby szóstym zmysłem.

Kraj ten nie jest zresztą wymarzonym terenem dla pieszej turystyki. Tu się raczej pływa przez znaczną część życia. Jakto — zapyta ktoś, kto tam nie był — po bagnach się pływa? A tak! Z tą małą różnicą, że nie po bagnach, lecz po wodzie, po olbrzymich rozlewiskach rzek, po jeziorach wśród bagien. Bo Polesie to nietylko kraj moczarów, to w równej mierze kraj wód dzikich, fantastycznych, nieujętych w karby. Gmatwanina wód na wiosnę przywodzi na myśl jakiś niesamowity labirynt jezior, rzek, kanałów, — labirynt, stworzony przez naturę wśród bardzo bujnej roślinności wodnej, wśród kęp pięknych lasów. Kto nie zna dobrze normalnego biegu rzeki, nie jest wstanie uzmysłowić sobie na wiosnę jej kierunku, ni łożyska, widzi natomiast coś nakształt groźnego jeziora, które przypomina rzekę podłużnym, ginącym gdzieś na horyzoncie kształtem. Kto nie zna zapadłej poleskiej wsi, nie może sobie wyobrazić, że w Polsce, tam na Polesiu istnieją takie małe Wenecje, tembciekawsze, że nieprzeczuwane przez przybysza z innych stron kraju. Bo i któż z nas, wychowanych w oklepanej formułce poleskich bagien i moczarów, mógłby wogóle przypuszczać, że są tam wsie, pokrajane wodami, w których komunikacja odbywa się na łodziach, zaś każdy mieszkaniec posiada wiosło? Ktoby mógł przeczuwać, że taka wieś posiada budynki gospodarcze osobno na kępie, do której się dociera również łodziami? Kto mógłby dać głowę za to, że można być na wodzie dzień i noc, zanim się podobną wioskę z łódki zobaczy? I choć ziemia nie znika z oczu w czasie całej wędrówki, chciałoby się krzyczeć wtedy na cały głos: ziemia, ziemia! Bo ziemia na Polesiu, to twardy grunt pod nogami, to oaza wśród trzęsawisk, na której stoi wieś.

Zachowana do dziś pierwotność tego kraju sprawia, że Polesie raczy nas, podnieca i zachwyca swym niezwykłym egzotyzmem i tasama pierwotność **j e s t** przyczyną, że Polesie jest niedostępne w sensie współczesnego ruchu turystycznego na wielką skalę. Drogi na Polesiu to najczęściej szerokie polskie trakty odwiecznego typu, prowadzące poprzez piachy wydm, albo straszliwe serje leśnych trzęsawisk, dołów wypełnionych wodą, która żywcem wdziera się do pojazdu, chybocącego się w taki sposób, że słowa „uśmiechnij się" brzmią, jak krwawa ironja. Brak odpowiednich dróg i najrzadsza w Polsce sieć kolejowa nie sprzyja turystyce w większym stylu, jest natomiast przyczyną pierwotności Polesia. Jest to pewnego rodzaju błędne koło, wyrażające się tem, że jeżeli powstaną odpowiednie warunki dla masowej turystyki, to zniknie egzotyzm, dzikość, a pradawny obyczaj poleszuków będzie się oglądać, jak dziś niektórych starych górali w Zakopanem. Polesie straci wiele na atrakcyjności. Jeżeli tak będzie, to skoleі ruch turystyczny ustanie i stosowne urządzenia staną się zbędne, jako, że Polesie ucywilizowane, uprzemysłowione i odwodnione przestanie być sobą i stanie się podobne do wielu innych okolic Polski.

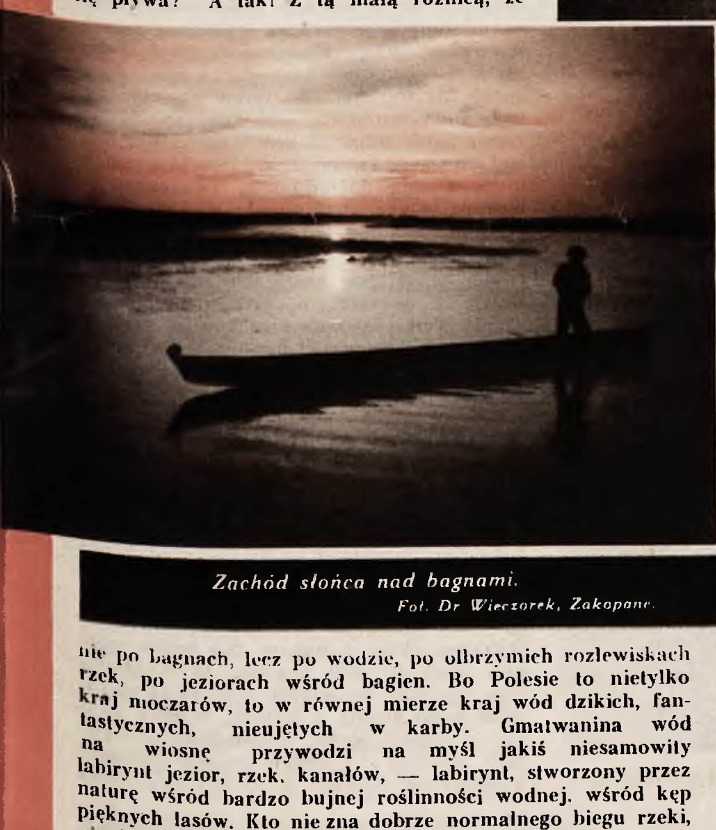
Narazie jednak niema o to najmniejszych obaw. Siła atrakcyjna Polesia trwa w całej pełni. Poleszuk nadal spulchnia nieurodzajną glebę prasłowiańską sochą, nadal kosi trawę pod wodą, chodzi w łapciach z łyka, używa łuczywa, a zapałkę, — jeśli ją wogóle posiada, — dzieli podłużnie na cztery równe części. Nadal można oglądać wysoko na drzewach umieszczone ule poleskich bartników, można się wzruszać naiwnością pradawnych wierzeń i obrzędów weselnych, można widzieć urocze wiejskie cmentarzyki, położone ustronnie wśród prześlicznych sosen, a na tych cmentarzach wyraźne ślady odwiecznych pogańskich wierzeń dawnych Słowian, kiedyto nieboszczykom składano na mogiłach pożywienie.

(Dokończenie na str. 7).



Sosny poleskie.
Fot. Dr Wieczorek, Zakopane.

Poniżej: Hr. Zofja Chomętowska po polowaniu na głuszce.
Fot. Chomętowska, Warszawa.



Zachód słońca nad bagnami.
Fot. Dr Wieczorek, Zakopane.



ARMJA ołowianych żołnierzy



Na lewo: Chorąży królewskiej gwardji francuskiej.



Na prawo: Król Jan III.



Na prawo: Dragon z czasu wojny trzydziestoletniej (kolekcja Pawła Armont).

Któż z nas, będąc dzieckiem nie bawił się ołowianemi żołnierzykami! Któż nie marzył o tem by ojciec, lub dobry wujaszek ofiarował nam nowe pudełko tej czarującej zabawki! Jakaż była radość, gdy pod drzewkiem, na Boże Narodzenie, znalazło się wspaniałą ołowianą orkiestrę wojskową na białych koniach, lub artylerję z „prawdziwemi" armatami! Dziś, gdy wojna włosko-abisyńska poruszyła w tym kierunku umysły nie tylko dorosłych, ale i naszej dziatwy, nie znajdziesz niemal jednej wystawy z zabawkami dla dzieci, gdzieby w barwnej grupie nie było egzotycznej jazdy abisyńskiej, lub włoskiej piechoty w ataku...

...I któż z nas mógł przypuszczać, iż istnieją na świecie ludzie, nie ci maleńcy po dziesięć i dwanaście lat, ale ci dorośli, z wąsami i brodami, z ukończonemi studjami uniwersyteckiemi, dla których kolekcjonerstwo ołowianych żołnierzy stało się wprost namiętnością, którzy posiadają tych żołnierzy po kilkaset sztuk, co mówię, po kilkanaście tysięcy sztuk? Którzy sprawę tę postawili na poważnym, naukowym poziomie, przeprowadzając w tym kierunku długie naukowe studja i oddając się swym zbiorom żołnierzy z całem zamiłowaniem. Tak pojęte zagadnienie, uważane być może jako cenne uzupełnienie bronioznawstwa, munduroznawstwa, oraz historji wojskowości a nawet historji wogóle, zważywszy, że przecież cała niemal historja naszego globu, to historja odwiecznej walki.

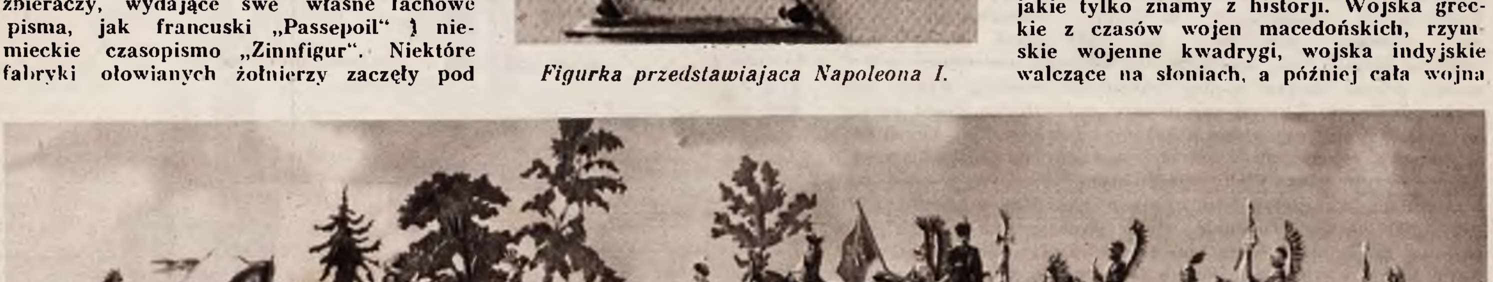
Kolekcjonerstwo ołowianych żołnierzy rozwinęło się dopiero w ostatnich czasach. Kwitnie ono przedewszystkiem we Francji i Niemczech, gdzie istnieją nawet związki zbieraczy, wydające swe własne fachowe pisma, jak francuski „Passepoil" i niemieckie czasopismo „Zinnfigur". Niektóre fabryki ołowianych żołnierzy zaczęły pod wpływem rozwijającego się kolekcjonerstwa, traktowanego naukowo, zmieniać kierunek swej produkcji, wytwarzając modele figur ściśle według wzorów, opracowanych przez fachowców i artystów malarzy i na podstawie dokładnych studjów historji wojskowości. W produkcji tej przodują fabryki w Norymberdze, które już w XVII. wieku znane były z fabrykacji najładniejszych zabawek, a zwłaszcza ołowianych żołnierzy. Oczywiście, że te dawne figurki norymberskich żołnierzyków traktowane były wyłącznie jako zabawki dla dzieci. Podobne fabryki znajdują się jeszcze w Kilonji i w Wiedniu. Ostatnio, nie dawniej, jak trzy lata temu, stworzyła własną produkcję ołowianych żołnierzy (dla kolekcjonerów) również i Francja, przewyższając nawet niemieckie fabryki w artysycznem i estetycznem wykończeniu figurek.



Figurka przedstawiająca Napoleona I.

Zbieracze są bardzo wybredni. Dążąc do stworzenia jak najliczniejszych zbiorów, nie zadowalają się posiadaniem wielkiej liczby żołnierzy, chodzi im o to, aby każda ze znajdujących się w kolekcji figur była odmienną od innych. Figury są wyłącznie ręcznie malowane, z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów umundurowania danej epoki historycznej. Wszystkie epolety, wyłogi, kolor munduru, jego krój, sposób noszenia przez żołnierza broni, muszą być przy wykonywaniu każdej nowej figurki uwzględnione z całą dokładnością. Zważywszy, iż wielkie zbiory słynnych kolekcjonerów liczą po kilkanaście tysięcy figurek, możemy wyobrazić sobie jak bardzo tworzenie zbioru jest kosztowne i jaką przedstawia on wartość z naukowego punktu widzenia. Tylko czterech grawerów w całej Europie cieszy się wśród kolekcjonerów opinją fachowców stojących na wysokości zadania w produkcji żołnierzy ołowianych: — są to przedewszystkiem Frank w Niemczech i Kunert w Wiedniu. Jeśli chodzi o stronę malarską, wyspecjalizował się w tej dziedzinie i zdobył swego rodzaju sławę paryski artysta malarz L. Rousselot.

Jednym z najpoważniejszych zbieraczy żołnierzy ołowianych w Europie jest komedjopisarz francuski Paul Armont, prezes i założyciel Francuskiego Związku Kolekcjonerów w Paryżu. Posiada on wprost fantastyczne okazy i unikaty. Nie będzie wielkiej przesady jeśli powiem, że w zbiorze jego znajdują się modele wszystkich wojsk, jakie tylko znamy z historji. Wojska greckie z czasów wojen macedońskich, rzymskie wojenne kwadrygi, wojska indyjskie walczące na słoniach, a później cała wojna



Jan III. w otoczeniu swego dworu i husarzy pod Wiedniem. Figurki wykonane według rysunku rtm. S. Gepnera.

trzydziestoletnia, kilka tysięcy figur (każda inna) z epoki Napoleona. Ten zbiór Paul Armont'a jest zresztą znany z pism francuskich, które niejednokrotnie poświęcały mu wiele miejsce. Ostatnio zamieściła o niej wielki artykuł z pięknemi barwnemi ilustracjami paryska „L'Ilustration".

A jak kolekcjonerstwo żołnierzy ołowianych przedstawia się w Polsce? Jak dotychczas, jedynym polskim zbieraczem jest kustosz warszawskiego Muzeum Wojska, rtm. Stanisław Gepner. Jego zbiór, aczkolwiek skromniejszy od kolekcyj niemieckich i francuskich kolegów, liczący jednak poważną ilość ponad tysiąc sztuk żołnierzy, zawiera sporo ciekawych figur. Połowa z nich — to figury z czasów wojen napoleońskich. A więc sam Napoleon, jego sztab, oficerowie, żołnierze różnych pułków tej międzynarodowej armji. Niektóre figury, istotnie pomysłowo ujęte przez projektujących je artystów malarzy i wykonane precyzyjnie przez stojące na odpowiednim poziomie fabryki, są istotnie piękne i stanowią swego rodzaju cacka sztuki grawersko-malarskiej.

Do serji figur, będącej największą dumą rtm. Gepnera należy polska husarja i wojsko z czasów odsieczy Wiednia. Projekty tych figur wykonał sam rtm. Gepner na podstawie dokładnych studjów nad umundurowaniem polskiego wojska z tej epoki. Stronę grawerską i odlew ołowiany wykonały fabryki paryskie, a częściowo niemieckie, pod osobistą kontrolą i korektą projektodawcy. Malowane były one w Warszawie, własnoręcznie przez rtm. Gepnera, który u zbieraczy europejskich cieszy się sławą twórcy działu figur z epoki wiedeńskiej odsieczy Sobieskiego i w uznaniu tych zasług został mianowany członkiem honorowym francuskiego Związku Kolekcjonerów: „Société de Collectionneurs de Soldats d'étain" w Paryżu. Zaznaczam, iż figurki żołnierzy widoczne na fotografjach zamieszczonych, pochodzą ze zbiorów rtm. S. Gepnera.

Tak oto wygląda wielki, nieznany nam świat małych ołowianych żołnierzyków...

Roman Burzyński.



Grupa figurek przedstawia obóz cesarza Napoleona (siedzi na prawo) przed namiotem wraz ze sztabem w czasie podróży.

(Dokończenie ze str. 5)

Każdy człowiek, ceniący wyżej piękno natury i przeżycia od osobistej wygody, może na Polesiu znaleźć mnóstwo nowych głębokich wrażeń, pod warunkiem, że nie będzie sądził powierzchownie Polesia według tego, co się widzi z okien wagonu kolejowego. Ten widok, chociaż czasem interesujący, nie daje żadnego pojęcia o kraju, w którego sercu trzeba stanąć, aby się zachwycić i wyczuć jego istotne tętno. I tutaj właśnie nastręczają się pewne trudności turystyczne, związane z jednej strony z dziką pierwotnością tych słabo zaludnionych obszarów, zaś z drugiej z brakiem elementarnych udogodnień dla celów turystycznego zwiedzania. Kto pragnie dotrzeć do serca Polesia i poznać zbliska jego osobliwości, musi być albo zdecydowanym na wszystko badaczem i miłośnikiem przyrody, albo też musi korzystać z wielkiej gościnności tamtejszego ziemiaństwa. Nie można powiedzieć, żeby gościnność kresowego dworu nie miała już sama przez się wielkiego uroku, żeby więc ten „mus" nie był jednym z najprzyjemniejszych. Ale i to jest prawdą, że podobna gościnność jest darem szczęśliwych wybrańców losu i nie można jej nabyć za pieniądze w biurach turystycznych.

Mimoto, każdego Polaka, sławiącego piękno zagraniczne i widzącego w tem jedyną ucieczkę od rzekomo szarego krajobrazu rodzimego, należałoby się wpierw zapytać: „A był pan już na Polesiu?".

Kto zna Tatry, a nie był na Polesiu, nie wie, co to jest Polska. Te dwa bieguny polskiego krajobrazu świadczą najlepiej, jacy jednak jesteśmy pod tym względem bogaci, jakie posiadamy na naszych ziemiach kontrasty, ile mamy tu u siebie do podziwiania, zanim się spełni słuszny postulat, aby nam ułatwiono również poznanie obcych ludów i krajów. Znawcy twierdzą, że na zachód od Polski napróżno szukalibyśmy w Europie drugiej tak przedziwnie egzotycznej krainy, jak nasze Polesie. To jest jakby oaza, zagubiona w nurcie nowoczesności i cywilizacji, niwelującej wszelkie odrębności regjonalne. I znów te niezwykłe kontrasty! Weźmy wieś pomorską, równiutko uregulowaną, murowaną, zamożną i porównajmy z nią wioskę poleską, słomianą, biedną, prymitywną, gdzie nafta jest luksusem, zapałka rzadkością, a cały but na nodze rewelacją! To są dwa światy, oddalone od siebie nietylko o setki kilometrów, lecz i o setki lat. Nie chce się poprostu wierzyć, że z Pomorza na Polesie jeździć można bez paszportu!

W starej siedzibie książąt Druckich-Lubeckich, w Porochońsku za Pińskiem jest skromny dwór, powojenny ślad dawnej wspaniałości. Tam w saloniku, wśród bielonych ścian przeglądać można księgę pamiątkową, pełną wybitnych nazwisk nietylko polskich, lecz cudzoziemskich. Czego tam niema! Dowcipy, wiersze, rysunki nieraz wybitnych artystów, chór zachwytu sławnych myśliwych, zachwyty gastronomiczne obok poetycznych wzlotów na temat krajobrazu, wklejone wycinki z czasopism polskich i zagranicznych, ilustrujące słowem i obrazem zachwyty na widok poleskiego piękna... Człowiek przyjeżdża z głową naszpikowaną bagnem i moczarem, a powraca z uczuciem rzeczywistego piękna w duszy, przybywa z roztrzęsionemi nerwami, a wraca ukojony czarem dziwnego kraju, gdzie życie płynie wolno, jak przed setkami lat. Gdy w parochońskim albumie czyta się entuzjastyczne opinje oczarowanych egzotyzmem Polesia cudzoziemców, mimowoli przychodzi na myśl znana sentencja Polaków: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...".

Ktoby przypuszczał, że na Polesiu posiadamy tylko kupę błota, mógłby z równą słusznością twierdzić, że Tatry to tylko kupa kamieni. A któż, doceniający wartość tych kochanych polskich gór, poważy się na podobne twierdzenie?

Są okolice, których najgłębsza wartość wykracza daleko poza to wszystko, co jest uchwytne fizycznie i co stanowi doraźny zysk gospodarczy. Tak jest z Polesiem. Krajobraz poleski jest pełen niewysłowionego, a miłego smętku. Niema tam czarnej melancholji ciężkiego smutku. Jest to cichy, senny smętek wśród brzęku komarów, jest to żal jakiś, który dniem i nocą wisi nad wodami. Nie zapomina się szybko chwil, spędzonych w tym nastroju na łódce, wśród labiryntu wodnego, pod palącem słońcem poleskiej wiosny, trudno oderwać się od wspomnienia nocy, spędzonej w łodzi na jeziorze Hołcza, przy rechocie niezliczonych żab, wśród rozgwaru ptactwa wodnego, przy mruganiu gwiazd.

Krajobraz poleski jest najciekawszy przy wysokim stanie wód, a więc na wiosnę i w jesieni. Woda, niebo i lasy, to jego zasadnicze elementy. Niebo poleskie jest zachwycające pod względem bogactwa, kształtu i kolorytu chmur, woda mieni się wszystkiemi odcieniami toni, od spokojnych, lustrzanych odbić, poprzez fantastyczne refleksy, aż do burzliwego nastroju wielkich jezior. Przedziwnie urocze, a pod względem bogactwa tonów i kolorystyki jedyne, są wschody i zachody słońca na Polesiu. Gdy rozpalona czerwonością plama słoneczna ginie powoli za lasami horyzontu, gdy płoną chmury na niebie, a krwawe odbicia na Prypeci znaczą koniec dnia, zwożą poleszucy na łodziach trawę, koszoną pod wodą. Płyną bezszelestnie płaskodenne łódki. — Ogólną ciszę przerywa czasem plusk wiosła. Zapada zmrok. Wraz ze słońcem odlatuje dzień, po którym obejmuje władanie równie czarująca, pełna odgłosów natury, poleska noc.

Dr Antoni Wieczorek.



MURY OBRONNE STAREGO KRAKOWA

BASZTA SENATORSKA NA WAWELU
(KREDKA Z AKWARELĄ Prof. L. WYCZÓŁKOWSKIEGO)

PAMIĘTNIK HENRYKA ✶ WARTY

NOWELA

Anna Dudevant

Jeśli dziś, po wielu latach, decyduję się na podanie do wiadomości ogółu pewnych ustępów z dziennika ojca mego, ś. p. dra Henryka Warty, zmarłego w następstwie ran, odniesionych w bitwie pod Gorlicami, to skłania mnie do tego tylko poczucie sprawiedliwości. Wydarzenia, do których odnoszą się znalezione przeze mnie karty notatnika, poszły już bowiem dawno w niepamięć, a i z szczupłego grona osób, którym los kazał być świadkiem zagadkowych wypadków, rozgrywających się w willi „Mir" w Ojcowie, pod Krakowem, na wiosnę 1891 roku, zapewne nikt już nie pozostał przy życiu. I chociaż odnośne ustępy dziennika, pisanego widocznie pod wrażeniem chwili, dotyczą problemów, które budziły zawsze we mnie szczere zainteresowanie, przygoda ś. p. ojca mego wydaje mi się czemś tak niezwykłem i tak urągającem świętym prawom natury, że nigdybym nie odważył się na ich ogłoszenie, gdyby nie krótka wzmianka w jednym z dzienników warszawskich, umieszczona z końcem ubiegłego roku i tłumacząca śmierć nieszczęśliwej pani Jadwigi Wilskiej w sposób niesmaczny i niezgodny z prawdą. Skłania mnie to do przesłania do druku uwag i wynurzeń człowieka, który, jakby należało wnosić, stał się, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, panem jedynej w swoim rodzaju tajemnicy.

Oto odnośne ustępy z dziennika, w którym nie dokonałem żadnych istotnych poprawek:

30 kwietnia.

Przez cały miesiąc lało, jak z cebra. Nie znoszę deszczu i błota, a wiosenna pogoda w Krakowie przyprawia mnie czasem o rozpacz. Czuję się nieco zmęczony i skorzystałem z przyjazdu mego starego przyjaciela i kolegi szkolnego, Witolda Rosta, aby spędzić kilka dni na świeżem powietrzu. Postanowiliśmy wybrać się do Ojcowa.

Przybyliśmy wczoraj i zamieszkaliśmy w willi „Mir", u wylotu Doliny Sąspowskiej. Właściciel jej, stary emerytowany urzędnik, przyjął nas bardzo serdecznie i zapoznał z gośćmi. Prawdę mówiąc ,mieszkają tu tylko dwie osoby, młody profesor gimnazjalny z Kielc, który jest fanatycznym wielbicielem Ojcowa, oraz pani Wilska, wdowa po asesorze sądowym, kobieta lat około czterdziestu, bardzo miła i sympatyczna, z pięknemi, smutnemi oczyma. Zajęliśmy pokój na pierwszem piętrze, obok pokoju profesora, a naprzeciw mieszkania pani Wilskiej.

Przybycie nasze było dla mieszkańców willi miłą niespodzianką. Mam na myśli gości, gdyż właściciel wyjeżdża bardzo często i zarząd domu sprawuje właściwie jego gospodyni, typ starej klucznicy, którą poza pracą w domu przez cały tydzień i nabożeństwem w niedzielę, nic w życiu nie interesuje. Witold będzie, jak się zdaje, dobrym towarzyszem wycieczek dla profesora. Urocza dolina przemówiła bowiem odrazu do jego wyobraźni. Przyłączę się do nich, kiedy wypocznę. Pani Wilska, która na życzenie dzieci przebywa tu od kilku miesięcy, aby przyjść do równowagi po śmierci męża, jest zdeklarowaną domatorką.

3. V.

Witold ciągnie mnie z sobą na wycieczki, ale na razie pozwalam mu dotrzymywać towarzystwa profesorowi. Sam używam błogich wywczasów i czuję, jak się odradzam.

Siedząc w fotelu, wpatruję się w widniejące przede mną białe zręby skał, których fantastyczne kształty uwydatniają się na tle zieleni, w szczeliny i rozpadliny wapienia, porośnięte żółtawym mchem i czarne okna prostopadłych ścian, wiodące w tę tajemniczą plątaninę grot i korytarzy, wyżłobionych w ciągu tysięcy lat przez mniejsze i większe arterje wodne. Ilekroć spoglądam na srebrną wstęgę. Ileż tajemnic kryje się tu w głębi ziemi! Któż wie coś pewnego o sieci tych wapiennych tuneli, sięgających na południe prawie do Wisły, a na północy aż poza Olkusz i jego zapadłe, zalane wodą, kopalnie srebra, w których sztolniach do dzisiejszego dnia jeszcze żyją ślepe stworzenia, skazane na wegetację w niezwykłych warunkach! Tak, to od niepamiętnych czasów kraina kryjówek dla ludzi i zwierząt, kraina jeszcze niezupełnie zbadana! Sądzę, że tych osiemdziesiąt grot na wapiennym terenie okolic Ojcowa, to tylko znikoma część zagrzebanych w głębi ziemi pieczar i korytarzy, o których krążą głuche legendy. Zresztą, trudno się temu dziwić.

4. V.

Wieczorem zeszliśmy się wszyscy przy kolacji. Pani Wilska była już rozmowniejsza i słuchała z uśmiechem, entuzjastycznych uwag profesora o malowniczości krajobrazu.

Wstąpiłem rano do zagrody naszego sąsiada, włościanina Cudzika i wysłuchać musiałem mimowoli jego jeremiad z powodu strat, jakie poniósł w ostatnim tygodniu.

Okazuje się, że w tym czasie łasica zagryzła mu szereg kur, a dziś w nocy jakiś złośliwy osobnik uśmiercił mu kozę, przebijając jej gardło, jak się zdaje, nożem. Ale co najciekawsze. Cudzik zaklina się, że nie ma tu żadnego wroga i że nigdy nie miał z nikim osobistych porachunków.

7. V.

Zdaje się, że nie będę mógł wymówić się już od wspólnych wycieczek. Prawdę mówiąc, przez te kilka dni wypocząłem należycie i odzyskałem dawną energję. Dziś, w czasie spaceru do doliny Korytanji, opowiadałem o kłopotach naszego sąsiada Cudzika, nie wiedząc, jak bardzo zainteresuje to profesora. „Rzecz ciekawa", powiedział mi. „Dziś rano skarżył mi się włościanin Swarżyński, który częstował nas mlekiem w dolinie Sąspowskiej, że jakiś złośliwy osobnik okaleczył strasznie jego krowę. Przed kilku dniami, w czasie ciemnej nocy, zbudził go ze snu żałobny ryk bydlęcia. Wyrażał on taką boleść i przestrach, że Swarżyński zerwał się na równe nogi i pobiegł do stajni, aby przekonać się, co się stało. Drzwi od obory były, jak zazwyczaj, na oścież otwarte... Koń szarpał się na łańcuchu i strzygł uszami w paroksyźmie trwogi. Uspokoił się dopiero na widok gospodarza. Dwie krowy stały przy żłobach, pozornie spokojnie. Kiedy jednak chłop podszedł bliżej, ujrzał na szyi jednej z nich szerokie okaleczenie, z którego spływała krew.

Sądzę, że poszkodowani włościanie poczynili już odpowiednie kroki, celem wykrycia sprawcy i zawiadomili wójta.

9. V.

Zwiedziliśmy razem kilka mniejszych grot, znanych mi z dawnych lat. Są to właściwie wapienne komory, z nieznaczną ilością stalaktytów, wilgotne i mokre, o ścianach czarnych od dymu żagwi i pochodni, przyniesionych przez ludzi, kiedy tu zaglądają aż za często. Rzecz jednak ciekawa, jak dobrze ukryte są w terenie i jak trudno do nich trafić obcemu. Mały pastuszek, który towarzyszył nam przez dwie godziny, odgrywając rolę przewodnika, prowadził nas jednak od jednej do drugiej pewnym krokiem.

Radziliśmy Cudzikowi, aby zastawił żelaza na łasicę, ale okazuje się, że zrobił to już w zeszłym tygodniu. Rzecz dziwna, że onegdaj znaleziono dwie kury z przegryzionem gardłem, mimo że od kilku dni żelaza czekają na nocnego intruza.

10. V.

Zdarzyła mi się wczoraj rzecz ciekawa i gdyby nie świadectwo Witolda gotów byłbym uwierzyć, że po raz pierwszy w mem życiu uległem halucynacji. Wracaliśmy późnym wieczorem z wycieczki do doliny Bentkowskiej i droga wypadła nam przez las, w którego głębi kryje się wąwóz Jamki. Znam tu nieledwie każden krzak z czasów studenckich, to też szliśmy pewnym krokiem.

Każdy przechodzień wie, jak przykre wrażenie wywołują Jamki w nocy. Nigdy jeszcze nie odczułem tego tak, jak wczoraj. Na górze wszystko piękne, tchnące życiem, skąpane w jasnej poświacie księżyca. A potem zaczyna się schodzić w mrok. Drzewa napierają na ścieżkę, sięgając prawie do samego jej skraja, grupy skał, ledwie widocznych wśród mchów i ciemnego podszycia lasu, wyłaniają się z zarośli, a w pewnych miejscach ściany wąwozu zbliżają się do siebie tak bardzo, że dzieli je tylko niewielka przestrzeń, zajęta przez łożysko wyschniętej strugi. Ponad głowami szumią drzewa, a z jam i rozpadlin na trawiastych zboczach wieje zimny wiatr.

Przystanęliśmy z Witoldem, aby zaczekać na profesora, który zatrzymał się, chcąc zapalić papierosa. Nagle do uszu mych doleciał jakby gwizd, gwizd, złożony z szeregu krótkich dźwięków, z których natury nie umiałem zdać sobie sprawy, ale których intonacja, dziwnie żałosna, sprawiła, że mimowoli wzdrygnąłem się. „Co to?" — zapytał Witold i spojrzał na zbocza dolinki, jakby stamtąd oczekiwał odpowiedzi. Nastała chwila ciszy i nagle usłyszałem krzyk mego towarzysza. „Do djabła!" — zawołał. I teraz coś spadło na mnie zgóry i od strony lasu. Przewróciłem się. W ciągu tych kilku względnie kilkunastu sekund, które poprzedziły mój upadek, doznałem wrażenia, że spoczywa na mnie jakiś ciężar, jakieś wielkie ciało ruchome, wydające charakterystyczny odór piżma. Na ustach i policzkach uczułem delikatną sierść, która — nie wiem czemu — przypomniała mi odrazu sierść naszych domowych myszy. Równocześnie jednak coś ostrego zaczepiło o moje ucho i rozerwało jego koniuszek. Sięgnąłem ręką i chwyciłem za szpon... długi, cienki

szpon, sterczący z podatnej, śliskiej błony. Nie miałem jednak czasu zorjentować się, gdyż nagle otrzymałem silne uderzenie, godzące w kark i wtył głowy. Coś miękkiego, obrzydliwego i zimnego przesunęło się nade mną, zdążając w stronę wylotu wąwozu. Usiadłem na ziemi, bezgranicznie zdumiony. I w tej chwili usłyszałem znów okrzyk Witolda... „Popatrz! Tam.... przed nami!" Przeciwległe zbocze dolinki widniało, skąpane w świetle księżyca. Teraz ujrzałem coś zdumiewającego. Jakiś wielki cień przesuwał się wzdłuż oświetlonego zbocza w stronę doliny Sąspowskiej. Nie mogłem rozróżnić jego kształtów, ani określić wymiarów. Wiadomo zresztą, jak łatwo mylić się w ocenie przedmiotów w księżycowem świetle. Przepadł, dostawszy się w obręb cienia, zaznaczającego kępę drzew, ale uwidocznił się za chwilę na jasnem tle niebios, nawprost mnie. Ujrzałem go w obramowaniu, utworzonem przez linję drzew, rosnących po obu stronach ścieżki, jak rozpiętego na szpilkach motyla. Był to, jakby duży ptak, z rozpostartemi szeroko skrzydłami, w których cieniu ginął tułów zupełnie niewidoczny. Uwydatniająca się doskonale głowa, zaopatrzona była w dwoje dużych, szpiczastych uszu. Od czasu do czasu zwierze wydawało żałosny pisk, podobny raczej do urywanego gwizdu. Doleciał on teraz od strony doliny i był jakby pożegnaniem, rzuconem nam przez to dziwne stworzenie.

Spojrzałem na palce, które mimowoli podniosłem do ucha w czasie upadku. Były zbroczone krwią. Krew spływała mi również po twarzy, skaleczonej ostrym szponem. Wyjąłem chusteczkę, przyłożyłem ją do ucha i odwróciłem się w stronę Witolda. Zdaje się, że był jeszcze bardziej zdumiony, niż ja, chociaż wyszedł ze spotkania, jak się okazało, bez szwanku. Tajemniczy ptak uderzył go tylko w przelocie końcem skrzydła, strącając mu z głowy kapelusz. Wówczas wydał ów okrzyk, który poprzedził moje zderzenie się z drapieżnem stworzeniem. Kiedy nadchodzący szybkim krokiem profesor zrównał się z nami i przystanął, zapytując, co mi się stało, nie mogliśmy jeszcze zdać sobie dokładnie sprawy z naszej przygody. Ale kiedy opowiedzieliśmy, co się nam przytrafiło, spojrzał najpierw na mnie, a potem na Witolda tak dziwnym wzrokiem, jakby uważał nas za szaleńców. Wielki drapieżny ptak nocny, atakujący człowieka! I do tego w Ojcowie, w okolicy dobrze znanej! Przypuszczał, że ulegliśmy złudzeniu. Ale, kiedy pokazałem mu skaleczenie i ślad pazura tajemniczego napastnika, otworzył usta ze zdziwienia.

A może mi się tylko tak wydało... Może w głębi jego duszy zbudziła się myśl, że opowiedzieliśmy bajeczkę, aby zabawić się jego kosztem?

Witold i ja traktujemy jednak rzecz poważnie i jeszcze przed godziną rozmawialiśmy długo o naszej przygodzie, nie mogąc znaleźć wyjaśnienia. Mnie, który czułem zimne dotknięcie błoniastych skrzydeł zagadkowego drapieżcy, coraz mniej prawdopodobnem wydaje się przypuszczenie, żeby to był wielki jakiś ptak, spłoszony w nocy przypadkowo. Ten dziwny zapach piżma, z jakim nie spotkałem się u żadnego znanego mi ptaka, daje mi dużo do myślenia. Ale wszystko, co mógłbym powiedzieć, wydaje mi się tak śmiesznem, tak nie wytrzymującem krytyki, że wolę czekać i przetrawiać przygodę naszą w milczeniu. Przecież wkońcu znajdzie się jakieś wyjaśnienie!

12. V.

Stała się rzecz straszna i to bezpośrednio w mojem sąsiedztwie. Mamy już na miejscu policję i wszelkie związane z tem przyjemności. Zdaje się, że żaden z nas nie był przygotowany na tego rodzaju tragedję. Pani Wilska nie żyje... Została zamordowana wczoraj około 11-ej wieczorem i to w czasie, kiedy byliśmy wszyscy w domu. Nie mógłbym uwierzyć, że coś podobnego jest wogóle możliwe, gdybym nie był prawie świadkiem tego okropnego zdarzenia.

Siedzieliśmy prawie do dziesiątej przy kolacji, rozmawiając o najrozmaitszych rzeczach. Profesor sypał dowcipami, jak z rękawa. Witold opowiadał o swoich studjach w Paryżu... Odnosiłem wrażenie, jakby towarzystwo nasze przestało być dla pani Wilskiej nudne i nieprzyjemne. Była więcej ożywiona, niż zazwyczaj, a czasami czytałem w jej oczach zainteresowanie. Rozeszliśmy się w dobrym humorze, a ja położyłem się zaraz do łóżka. Sądzę, że Witold poszedł wkrótce za moim przykładem, gdyż w czasie, kiedy rozległ się ów straszny krzyk w pobliżu, byliśmy już obaj pogrążeni w pierwszym śnie. Usiadłem na łóżku, nadsłuchując. I wtedy usłyszałem krzyk poraz drugi. Wyrażał przestrach, nieludzką grozę, ale i ból zarazem. Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem na korytarz, a za mną Witold. — Krzyk dochodził z pokoju pani Wilskiej.. Podbiegłem do drzwi i szarpnąłem za klamkę. Były zamknięte. W tej chwili wybiegł ze swego pokoju profesor i widząc, że nie możemy dostać się do środka, chwycił za leżącą na korytarzu deskę i zaczął przy jej pomocy wyważać drzwi. Szło to jednak opornie, gdyż wbrew przewidywaniu zamek był bardzo silny. Dopiero kiedy wsparliśmy się plecami o drzwi, rygiel puścił. Nie sądzę, aby wszystko to trwało dłużej, jak kilka minut. Nie ulega jednak wątpliwości, że w międzyczasie krzyki stawały się coraz słabsze. Wkońcu umilkły. Pomnę, że tuż przed wyłamaniem drzwi do uszu moich doleciał brzęk rozbijanych szyb w pokoju pani Wilskiej i łoskot wstrząśniętych silnie okiennic. Kiedy wtargnęliśmy do pokoju, cofnąłem się mimowoli zdumiony. Było ciemno, prawie zupełnie ciemno. Nawprost nas, przez szeroko otwarte okno, widać było w świetle księżyca lasy i zarośla doliny Sąspowskiej. Towarzysze moi przystanęli na progu, nie mogąc zorjentować się w mroku. Dopiero po chwili, kiedy oczy nasze przyzwyczaiły się do ciemności, rozróżnić mogłem kontury łóżka i leżącej na niem pani Wilskiej, która nie dawała znaku życia. W tej chwili stanął na progu, zwabiony krzykami i hałasem, gospodarz nasz z dużą latarnią w ręku. W świetle jej zauważyłem przedewszystkiem na podłodze kałużę krwi, którą zbroczona była także pościel i bielizna leżącej nieruchomo kobiety. Podbiegłem do niej i chwyciłem ją za rękę. Była ciepła. Ale kiedy przyłożyłem dłoń do piersi nieszczęśliwej, stwierdziłem, że serce jej już bić przestało. Wzrok mój spoczął mimowoli na twarzy jej i szyji. Szeroko otwarte oczy wyrażały lęk ale i zdziwienie zarazem. Nie miałem jednak czasu na szczegółowe oględziny, gdyż w tej chwili usłyszałem szept Witolda: „Popatrz na ranę na szyji! Chyba ją zasztyletowano"... Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że poza leżącą w łóżku kobietą, nie było w pokoju nikogo. Spojrzałem mimowoli na łóżko... Nikogo. A jednak charakterystyczna, trójkątna rana, o gładkich brzegach, świadczyła, że nieszczęśliwa padła ofiarą zbrodniczego napadu. Profesor, który podbiegł do otwartego okna, przypuszczając, że jedynie tą drogą uciec mógł zbrodniarz po dokonaniu przestępstwa, odezwał się do mnie drżącem ze wzruszenia głosem: „Niema nikogo, a jednak szkło rozbitych przed chwilą szyb leży pod oknem... Ktoś musiał stłuc szybę, zeskakując z okna.

Nie chcę rozwodzić się nad tym tragicznym wypadkiem. Z chwilą, kiedy przekonaliśmy się, że biedna kobieta nie żyje i że mamy do czynienia z typowym mordem, zawiadomienie władz stało się koniecznością. Jeszcze w nocy przybył na miejsce żandarm i przyjechał lekarz ze Skały. Rozpoczęło się śledztwo, które zatacza coraz szersze kręgi. Wyszły na jaw szczegóły, które dają mi jednak dużo do myślenia. Faktem jest, że pani Wilska padła ofiarą zbrodniczego napadu i że przestępca dostać się mógł do pokoju tylko przez otwarte okno. Faktem jest, że na wąskim skrawku trawnika pod oknem nieszczęśliwej nie znaleziono żadnych śladów. Co jednak najciekawsze i co czyni sprawę jeszcze bardziej tajemniczą, że w tem właśnie miejscu, na wolnej od zarośli przestrzeni, jaka rozciąga się między naszą willą i zagrodą Cudzika, ukryta była między trawami doskonale zamaskowana łapka na lasicę, będącą od szeregu dni postrachem drobiu naszego sąsiada. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby ktoś, zeskoczywszy z pierwszego piętra, nie schwytał się w zastawione żelaza, uciekając w zarośla. A jednak łapka pozostała nietknięta.

Nie wiem, co sądzą władze, ale to, co mówił mi dziś lekarz, doktór Właski ze Skały, budzi we mnie dziwne przypuszczenie. Pani Wilska umarła w następstwie ataku sercowego, o który przyprawił ją jakiś silny wstrząs. Rana na szyi, o wyglądzie, w istocie bardzo szczególnym, stała się powodem silnego krwotoku z dużych naczyń żylnych ale nie mogła być bezpośrednią przyczyną śmierci. Co więcej, obok trójkątnej rany na szyi, stwierdzono jeszcze w jej pobliżu liczne skaleczenia i zadrapania, których wygląd jest dla wszystkich zagadką. Zadrapania! Mimowoli sięgnąłem ręką do mego skaleczonego ucha. Czyżby to było możliwe!? Czyżby panią Wilską napadł jakiś wielki ptak drapieżny, krążący nocą w Sąspowskiej dolinie i szukający krwawych ofiar? Już przygoda w wąwozie Jamek dała mi dużo do myślenia. A teraz ten tragiczny wypadek!... Byłoby to jednak coś tak dziwnego, tak przeciwnego zdrowemu rozsądkowi, że muszę podzielić się przypuszczeniem mem z towarzyszami. Niech śledztwo idzie swoją drogą! Ja pragnę wyświetlić tylko pewne szczegóły.

13. V.

Tak, to nie ulega wątpliwości. W okolicznych lasach żyje jakiś drapieżnik, mający cechy wampira. Od dwóch tygodni urządza wyprawy do sąsiednich zagród i kurników, zabijając drób, oraz kalecząc zwierzęta. Nie lęka się nawet człowieka i jak świadczy nasza przygoda, może być dla niego niebezpiecznym.

O ile hipoteza moja jest słuszna, śmierć naszej sąsiadki odnieśćby można do silnego wstrząsu, wywołanego niespodziewaną napaścią tajemniczego wampira, który wleciał nocą przez okno i zaatakował uśpioną, kalecząc ją w szyję. To, co piszę, jest jednak takim absurdem, że mimo dłuższej rozmowy, jaką miałem wczoraj z Witoldem i profesorem, mimo, że w żaden inny sposób nie można sobie wytłumaczyć wypadków dni ostatnich, muszę zachować narazie milczenie. Profesor, który jeszcze przed dwoma dniami pozował na sceptyka, jest teraz najgorliwszym zwolennikiem mojej teorji. Mówił mi, że w zaciśniętych kurczowo palcach zmarłej znaleziono coś podobnego do krotkiej, szarej sierści...

17 V.

Jak przewidziałem, śledztwo będzie umorzone. Zanosi się na to od chwili wydania lekarskiego orzeczenia, a starania naszego gospodarza, dla którego śmierć pani Wilskiej w jego willi jest bardzo nie na rękę, pójdą również w tym kierunku. Zespół nasz dąży jednak do rozwiązania zagadki za wszelką cenę. W ciągu tych pięciu dni, które minęły od tragicznego wypadku, opracowaliśmy plan działania. Profesor przeszukał w towarzystwie Witolda i dwóch zwerbowanych w tym celu wyrostków zarośla na zboczach Chełmowej góry i Jamek. Przyszedł jednak do przekonania, że ukrywanie się wielkiego jakiegoś ptaka-drapieżcy w lesie i na stokach wąwozu jest przez czas dłuższy niemożliwością.

18 V.

Tak jest, kryje się w jednej z jaskiń. Witold zadał sobie tyle trudu i czatował wczoraj w towarzystwie syna Cudzika do późnej nocy w miejscu, gdzie zetknęliśmy się po raz pierwszy z tajemniczym drapieżcą. Profesor wraz z jednym z naszych „najemników" czekał u wylotu wąwozu, w dolinie Sąspowkiej. I rzeczywiście... Około jedenastej wieczór, Witold i młody Cudzik widzieli znów, z za krzaków, tajemniczego ptaka, który nadleciał od strony grupy skał wznoszących się nad ścieżką do Białego Kościoła. Leciał na wysokości jakichś dziesięciu metrów i zniknął im z oczu w lesie.

19 V.

Ostatnie wiadomości przekonały mnie. Trzeba z tem skończyć. Dziś w nocy „łasica" zabiła koguta i dwie kury w kurniku właściciela Swarżyńskiego w dolinie Sąspowskiej. Winna to być już ostatnia wyprawa tajemniczego zwierzęcia!

25 V.

Skończone! Wampir został unieszkodliwiony! I chociaż dziś leżę w łóżku z obandażowanym karkiem i głową, doznaję głębokiego zadowolenia, gdyż mam poza sobą chyba najdziwniejszą przygodę w mem życiu. Co więcej, jestem jej bohaterem. Nie mogę wprawdzie poszczycić się ostatecznemi dowodami, ale mam świadka w osobie profesora, któremu zawdzięczam nietylko rozstrzygnięcie wątpliwości, ale być może, życie.

Zorganizowaliśmy wyprawę, której celem było przeszukanie jaskiń i grot wąwozu Jamek i w której wzięli udział obok nas trzech, stary Cudzik z synem. Dwaj ostatni wiedzieli to tylko, że idziemy na polowanie i że chcemy ustrzelić jakiegoś dużego ptaka, który kryje się w jednej z pieczar. Latarki, dubeltówka Cudzika i nasze rewolwery stanowiły wyekwipowanie tej wyprawy, która była chyba jedyna w dziejach Ojcowa. Rozpoczęło się systematyczne przeszukiwanie jaskiń. Złodziejska, Zbójecka, kilka mniejszych u wylotu wąwozu Wpradło... Potem przyszła kolej na grupę skał, w której mieści się grota Piętrowa... I tu nic. Zaczęło ogarniać mnie zniechęcenie. Nagle usłyszałem głos profesora, który wspiął się na strome zbocze po stronie prawej i przyzywał mnie do siebie. Pospieszyłem w tę stronę. U podnóża skalnego komina, oddzielającego od siebie dwie wapienne opoki, widniał duży otwór, a raczej szczelina, która powstała przez obsunięcie się na przestrzeni kilkumetrowej zbocza wzgórza, w następstwie czego odsłonięte zostało wejście do ciemnej jaskini. Musiało stać się to niedawno... zapewne w czasie ostatnich, długotrwałych deszczów, gdyż rumowisko nie porosło jeszcze trawą, a tu i ówdzie widniały na pogniecionych liściach łopianu mniejsze i większe głazy. Zapaliłem latarkę i wszedłem do jaskini. Była to duża komora, o ścianach białych, krystalicznych; z niskiego sklepienia zwieszały się sople stalaktytów, z których dwa największe widniały nad przejściem do ciemnego korytarza w głębi. Podniosłem w górę latarkę i ruszyłem naprzód, a za mną profesor. Korytarz kilkumetrowej długości wiódł do drugiej pieczary, również białej, jak śnieg. Nawprost mnie znajdowały się dwa wejścia do dalszych komór. Poszedłem na lewo, ale musiałem zatrzymać się, gdyż dno załamywało się nagle tuż za zakrętem... U stóp mych ujrzałem przepaść, z której dął zimny, lodowaty wiatr. Zawróciłem, aby przywołać profesora i w tej chwili usłyszałem charakterystyczny świst. Przypomniał mi natychmiast nocną przygodę z przed tygodnia i nakazał cofnięcie się do komory, w której czekał mój towarzysz. To, co teraz nastąpiło, wydaje mi się dziś, jakby zmorą senną. Staliśmy na środku pieczary, której ściany oświetlone były dwiema latarniami, wpatrzeni w korytarz, z którego doleciał do naszych uszu przed chwilą zagadkowy świst. Nagle w przejściu, z którego wróciłem przed minutą, ukazało się jakieś wielkie, ciemne ciało. Wyłoniło się z mroku korytarza szybko i bez szelestu i rzuciło się na mnie. W niewyraźnem świetle latarek ujrzałem szerokie, błoniaste skrzydła, z pośród których sterczała ohydna głowa, z wielkiemi, stojącemi uszami. Przed oczyma mignęły mi dwa rzędy ostrych, białych zębów w rozwartym szeroko, odrażającym, trójkątnym pysku, ponad którym widniał, jakby rogowy grzebień. Ale co najciekawsze, zwierzę nie miało wcale oczu, jedynie białawe, nieruchome gałki, nawpół zakryte przez szerokie, włochate powieki. — Skrzydła, rozpięte na jakie dwa metry, upodabniały je do potwornego nietoperza, ale uzębienie i paszcza przyminały raczej, znane mi dobrze z rysunków, przedpotopowe gady. Rzuciło się na mnie z złowrogim świstem, a raczej piskiem i zanim mogłem zorjentować się, co się dzieje, uczułem na szyi ostre zęby potwora. Wzniesione ramię moje ubezwładniło uderzenie potężnych skrzydeł.. Zimna, wilgotna błona spoczęła na mej twarzy, a ostre szpony zaczęły szarpać ubranie na moich piersiach. Budzący odrazę odór piżma wprost mnie oszołomił. Zaledwie odczułem drugie uderzenie skrzydeł, godzące w moją skroń. W tej chwili usłyszałem wystrzał, jeden, drugi, trzeci... Potwór wypuścił mnie ze szponów. Zaczął bić skrzydłami i wydając żałosny jęk, zniknął w korytarzu, prowadzącym do otchłani. Profesor wystrzelił raz jeszcze, chwycił za latarnię i pobiegł za nim. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Zemdlałem.

To, co nastąpiło później, znam tylko z opowiadania. Odzyskałem zmysły w naszej willi, gdzie mnie przyniesiono wczoraj podrapanego i posiniaczonego, z rozdartą szyją i stłuczoną ręką.

Mieliśmy zamiar prowadzić dalej poszukiwania, ale dowiaduję się właśnie, że jest to dziś niepodobieństwem. Wieść o naszej przygodzie rozeszła się szybko po okolicy i wbrew przewidywaniom przyjęta została przez miejscową ludność, jako fakt stwierdzony. Zdaje się, że obawa przed nieproszonym gościem, przed szkodnikiem i drapieżcą, stanowiącym ciągłe niebezpieczeństwo dla ludzi i zwierząt, zadecydowała o wmieszaniu się w tę sprawę kilku włościan. Wynikiem krótkiej ich narady było zasypanie wejścia do pieczary i tunelu, wiodącego do niezbadanej przez nas czeluści. Słyszałem, że profesor opierał się temu stanowczo i że przyszło nawet do zwady. Ale ostatecznie musiał ustąpić. Ludzi się wprawdzie, że kiedyś po miesiącach przy sposobności, odkopie wejście do tajemniczej jaskini i rozwiąże jej zagadkę, wątpię jednak, czy zdoła zamiar w czyn wprowadzić. Daj Boże! Teraz o tem myśleć niepodobna.

Bez daty.

Kiedy dziś siedzę w mojem mieszkaniu i zastanawiam się nad tem, co przeżyłem w ciągu ostatnich, niezapomnianych dni, przychodzą mi do głowy dziwne myśli. Prawdę mówiąc, nie wiem, co sądzić o tych wydarzeniach. Nie mogę ich wytłumaczyć, gdyż pozostają w jaskrawej sprzeczności z tem wszystkiem, czego mnie uczono i co uważałem dotąd za nienaruszalne. Zadowolić się muszę hipotezami, jakkolwiek zdaję sobie dobrze sprawę z ich braków. Być może jednak, że gdzieś w tej okolicy — takie jest zdanie moje i profesora — znajduje się podziemne jezioro, zasilane przez strugi i potoczki, spływające wapiennemi szczelinami W tym wypadku mogłaby tam istnieć jakaś wegetacja, jakieś odrębne życie zwierzęce, wywodzące się od gatunków dzisiaj na ziemi nieznanych, które dostosowały się do nowego otoczenia i nowych warunków bytu. Stworzenia te, przebywające w niedostępnym dla nas świecie, uległy zapewne przeinaczeniu, zwyrodnieniu i wyolbrzymieniu Nic więc dziwnego, że kiedy jakaś katastrofa żywiołowa otwarła jednemu z nich drogę na powierzchnię ziemi, wystąpić ono musiało, jako potwór, ślepy, ale umiejący poruszać się we wszystkich kierunkach. Krwiożercze instynkty kazały mu szukać ofiar ludzkich i zwierzęcych w najbliższem sąsiedztwie. Trudno wytłumaczyć inaczej, to co się stało. Nie czuję się na siłach, aby bronić mojej hipotezy. Pozostawiam to innym, ciekawszym i szczęśliwszym. Wiem to tylko, że nie mogę narażać się na śmieszność i chociaż życzę profesorowi z całej duszy, aby poszukiwania jego uwieńczyło w przyszłości powodzenie, zachowam w sprawie tej zupełne milczenie.

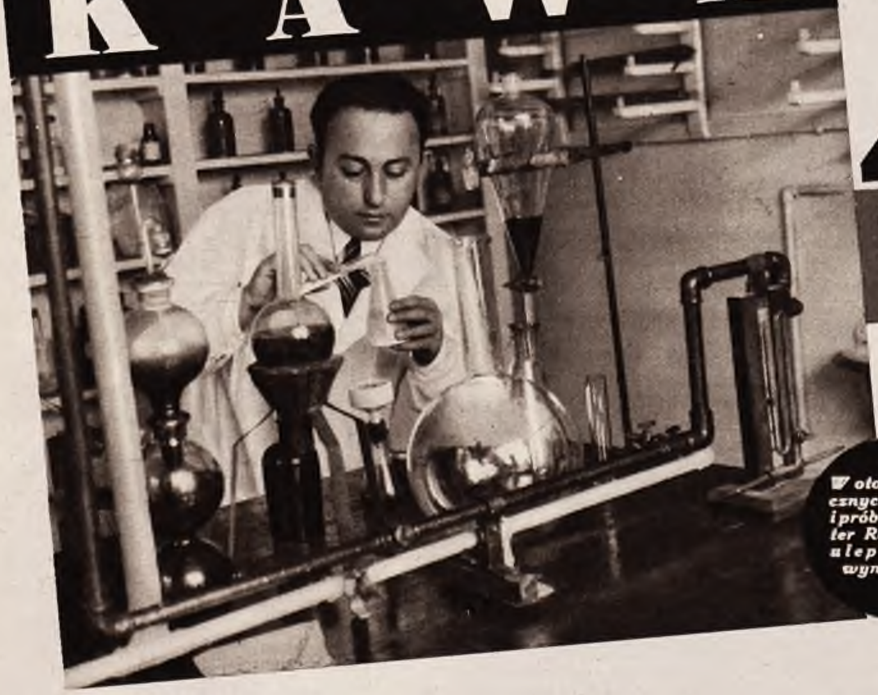


KOBIETA...
Anna Sten w filmie „Nana"



B E S T J A...
Puma w londyńskiem Zoo

KAWA Z RETORTY



W otoczeniu licznych retort i próbek, magister Rosenzweig ulepsza swój wynalazek...

Dziwnym zbiegiem okoliczności znów Wiedeń staje się „stolicą kawy", — z której na szeroki świat wychodzi nowy wynalazek. Przecież przez Wiedeń właśnie świat cały poznał kawę, a ściśle biorąc, dzięki Imć panu Kulczyckiemu, który po rozgromieniu Turków w r. 1683 wyprosił worki z „bezużytecznemi" ziarnkami kawy i następnie założył pierwszą kawiarnię w Europie. Nic też dziwnego, że od trzech wieków Wiedeń cieszy się sławą posiadania najlepszej kawy na świecie, którą w licznych kawiarniach przyrządzają w sposób nader smaczny.

Cały świat poświęca wiele zainteresowania współczesnej chemji, gdyż w ostatnich latach chemicy zadziwili nas nieraz zupełnie niezwykłemi odkryciami. Słyszeliśmy już o sztucznem wytwarzaniu gumy oraz gazoliny. Podczas wojny „ściągano" nitraty z powietrza, a cukier można już wytwarzać z miąższu drzewa tak dobrze, iż żaden smakosz się na tem nie pozna.

Ostatnia sensacja, zwana tajemniczo „Syngala 761", przyszła z Austrji. Jest to wynalazek austrjackiego chemika i fizjologa S. Resenzweiga, człowieka 40-letniego, który służy tylko jednej bogini — wiedzy.

Chemicy w ogólności, a fizjologowie zajmujący się roślinami w szczególności, stoją niejako poza resztą ludzkości. Pracują oni za zamkniętemi drwiami, analizują komórki roślin i tworzą nowe życie i nowe składniki z rozkładu. Ludzie ci żyją tylko dla swoich wynalazków i do takich właśnie należy wynalazca syntetycznej kawy. Wynalazek ten, nieznany jeszcze publiczności, doszedł do skutku w Wiedniu, a właściwie w jego okolicy.

Nowa kawa przypomina „normalny" ten napój, a składniki jej są równe tym, jakie znajdujemy w kawie południowo-amerykańskiej, z tą tylko różnicą, że procentowa zawartość kofeiny, jak również wartość odżywcza może być kontrolowana i regulowana, podczas gdy palona kawa w procesie palenia traci swoje odżywcze właściwości. Składniki te pozostają w kawie nr. 2 te same, a nawet mogą być wzmożone.

Historja odkrycia jest dosyć ciekawa — gdyż Rosenzweig dokonał go dzięki przypadkowi. Dziwna nazwa i numer oznaczają laboratorjum i kolejność ostatniego doświadczenia, które dopiero dało zadowalniający rezultat. Przez piętnaście lat Rosenzweig prowadził swoje doświadczenia w odniesieniu do produkcji syntetycznej różnych lekarstw. Jakieś dwanaście preparatów świadczy o pracy uczonego. By móc prowadzić swoje prace z całą swobodą, założył on w okolicach Wiednia farmę eksperymentalną, na której rosną różne rośliny i krzewy. Nauka stwierdziła dowodnie, że liczne zioła posiadają wspólnych, żeby się tak wyrazić, przodków. Badania w tym kierunku prowadzi się już od czasów Mendla i Darwina. Fizjologowie, zajmujący się roślinami, dochodzą nieraz do zadziwiających rezultatów, i tak np. umieją dostosować rośliny do zmienionego klimatu, jak również do nowych warunków kiełkowania. Niejednemu z nich udało się zaopatrzeć rośliny w cechy charakterystyczne, które zmieniają zupełnie ich naturę i tworzą nową odmianę. Wobec tego, że klimat naszej planety uległ w ostatnich kilkuset latach dużym zmianom, można logicznie wnioskować, że rośliny, uważane dawniej za tropikalne, znajduje się obecnie, choćby w stanie zdegenerowanym, w umiarkowanych klimatach.

Poniżej: Kawa w tabletkach, — oto rezultat pracy wiedeńskiego chemika.



Starania Rosenzweiga poszły w kierunku wydobycia kofeiny z różnych roślin. Pracował on nad tem przez trzy lata, używając rośliny kawy brazylijskiej, jak również jej odmian i robiąc niezliczone eksperymenty. Powoli zbliżał się do rozwiązania zagadki. Jedyną słabą stroną wynalazku jest to, że kosztuje kilka razy więcej od kawy brazylijskiej. Wkońcu chemiczna analiza wykazała, że syntetyczny twór posiada te same składniki, co i zwykła kawa; pozatem wartości odżywcze, a przedewszystkiem zapach i smak kawy brazylijskiej.

Jak to często się zdarza u uczonych, — Rosenzweig uważał swoje odkrycie za mało ważne, gdyż szukał czegoś zupełnie odmiennego — chciał bowiem wytworzyć kofeinę. To, że zdołał „sfabrykować" kawę, było dla niego bagatelą. Dopiero jego współpracownicy zwrócili mu uwagę na

Poniżej: Duże pola zasiane różnemi roślinami dostarczają uczonemu materjału eksperymentalnego.



znaczenie odkrycia. Po miesiącach pracy doszedł do rezultatu, który może zrewolucjonizować handel kawą.

Jak zwykle uczeni, Rosenzweig nie chciał mówić o swojem odkryciu publiczności. Po długich dopiero staraniach udało mi się zyskać jego zaufanie i... interview. Jest to nad wyraz pracowity człowiek, którego myśli „bujają w obłokach".

— Czy pan w dalszym ciągu eksperymentuje ze swoją nową kawą?

– Owszem. Obecnie staram się zbadać wartość odżywczą w nowym produkcie. Nową kawę można fabrykować z kofeiną lub też bez, a zawartość jej bada się środkami chemicznemi. W „Syngala 761" nie może nikt dostrzec braku kofeiny, gdyż aromatyczne ingredjencje zastępują w tym wypadku ten składnik. Dla sportsmenów dodajemy „colę", a dla celów leczniczych „lecytynę", lub podobne składniki.

— Jak pan fabrykuje swoją kawę? — pytam zaciekawiony.

— Najważniejszy moment fabrykacji, to



Aparat, w którym Rosenzweig zdołał wytworzyć syntetyczną kawę.

suszenie i palenie kawy; pozatem kawa moja może być zaparzana w zwykły sposób. Zapomocą specjalnego procesu chemicznego wszelkie składniki mające wartość odżywczą, lub smakową, wydobywam z roślin. Ekstrakt ten poddaję następnie destylacji i suszę. Wszystkie odżywcze składniki, jak albumina, karbohydraty, jak również naturalne olejki, dające kawie jej smak, pozostają w nowym produkcie. — Osuszony ekstrakt miesza się następnie z cukrem i komprymuje w formie tabletek. Jedna tabletka wystarcza do zrobienia szklanki kawy. Rozgniótłszy łyżką tabletkę, nalewa się na nią mleko lub kawę, w której się zupełnie rozpuszcza i nie pozostawia żadnego osadu.

Rosenzweig nie lubi odpowiadać na liczne pytania, dlatego też przeprasza mnie i znika w swojem laboratorjum. Zamykają się drzwi, ukrywając tajemnice europejskiej kawy. Wkrótce, za rok lub dwa, stanie się ona może groźnym konkurentem na rynku europejskim dla kawy brazylijskiej. Sądząc po tem, co dotychczas wiemy, należy przypuszczać, że i cena nowej kawy będzie niższa od dotychczas używanej. Wkrótce więc może powstać zagadnienie: Brazylja czy Austrja?

Michael Lorant.

NASZA ANKIETA:

Który moment w życiu zadecydował o mej karjerze?

KAPELMISTRZ MAREK WEBER



Marek Weber, kapelmistrz słynnej orkiestry jazzowej.

Niejeden z nas słyszał już zapewne o Marku Weberze, kapelmistrzu słynnej orkiestry jazzowej. Ale zawsze uważaliśmy go za Niemca, gdy tymczasem jest on... rodowitym Lwowianinem i w swej orkiestrze, liczącej 13-tu muzyków, zatrudnia trzech Polaków.

Weber święcił ostatnio wielkie sukcesy w Amsterdamie, Paryżu, Wiedniu, Londynie i Budapeszcie. Na jego koncertach sala zawsze jest pełna, mimo dość wysokich cen wstępu, a bisom niema końca, bo rozentuzjazmowana publiczność nie chce się rozstać ze swymi ulubieńcami. Jako przykład popularności tego zespołu mogę podać fakt, że podczas występów w Paryżu w teatrze „Gaumont", Weber musiał dawać po trzy przedstawienia dziennie, przyczem liczba publiczności przekraczała 21.000 w jednym tylko dniu.

Weber przebywa obecnie w Lozannie, gdzie od kilku dni występuje z wielkiem powodzeniem w „Métropole'u. Podczas antraktu przystępuję do niego i zadaję niedyskretne pytanie: „Jaki moment w pańskiem życiu zadecydował o wyborze karjery muzycznej?". Nasz mistrz nie spodziewał się wydać takiego pytania, to też dopiero po chwili zaczął mi opowiadać:

— Moja rodzina była zupełnie niemuzykalną i chciała mnie wykierować na doktora; ja jednak od najmłodszych lat miałem pociąg do muzyki. W dwunastym roku życia zapisałem się do c. k. orkiestry wojskowej jako elew, przytem brałem lekcje w konserwatorjum lwowskiem u profesora Wolfstala. W rok później grałem już w orkiestrze opery lwowskiej.

— W tym okresie przyjechał do Lwowa kwartet smyczkowy z Nedbalem, słynnym muzykiem austrjackim i ów koncert wywarł na mnie tak wielkie wrażenie, że postanowiłem zostać zawodowym muzykiem. W tym też celu wyjechałem na dalsze studja do Berlina i tam był początek moich sukcesów. Do grona licznych przyjaciół w stolicy Rzeszy mogłem zaliczyć między innymi słynnego polityka Stresemana. Kiedyś zwrócił się on do mnie z propozycją, abym, będąc od 27-miu lat w Niemczech przyjął obywatelstwo niemieckie. Odpowiedziałem jednak panu ministrowi, że wychowałem się w Polsce i że narodowości nie zmienię!

Marek Weber pozostał wiernym ojczyźnie, czego dowód mieliśmy w Amsterdamie, gdzie na gmachu teatru, w którym występował, ogromna dwupiętrowa reklama podkreślała polskość wirtuoza. Odznaczony wieloma orderami zagranicznemi za swoją działalność muzyczną, posiada Weber między innymi order turecki, który mu został wręczony przez tureckiego następcę tronu.

— Czy występował pan w Polsce ze swoją orkiestrą?

— Nie, jakoś nigdy nie mogłem otrzymać pozwolenia na występy, ponieważ w moim zespole gra 10-ciu cudzoziemców — pada odpowiedź. Mistinguette bawiła ze swoim teatrem w Polsce przez kilka miesięcy i nikt jej jakoś nie robił trudności!

— Jak się przedstawiają pańskie plany na przyszłość?

— Za kilka miesięcy jadę z orkiestrą na tournée po Ameryce, a tymczasem siedzę w Europie.

Pół godziny minęło na miłej pogawędce, którą zakończyłem życzeniami dalszych sukcesów

Jerzy Morawski (Lozanna).

KOLOROWE GIRLSY

Na lśniących parkietach nowojorskich music-hallów pojawiły się egzotyczne twarze... Nawet tam, gdzie kolorowy człowiek dawno przestał być sensacją, japońskie girlsy wzbudzają powszechne zainteresowanie. Najnowszy „eksport“ z kraju kwitnącej wiśni okazał się jednak mało niebezpiecznym dla amerykańskiego rynku zbytu i jeśli komu zagraża, to chyba tylko młodym Yankesom i to tym — z miękkiem, lub obszernem sercem.

Deski teatrów rewjowych od dawna już stały się terenem, na którym jak tęcza mienią się kolory różnych ras i emanują temperamenty różnych narodowości. Ale dopiero występ całego zespołu tanecznego, złożonego np. z murzynek, lub mulatek, wykonującego najzawilsze ewolucje obok czysto „białych“ girlsów daje widzowi możność porównania techniki tańca i jego duszy u dwóch krańcowo różnych ras. Tylko Amerykanki, które żyją w ustawicznym kontakcie z czarnymi, mogły sobie przyswoić pewne charakterystyczne cechy tańca murzynek, czy mulatek, dorównując im pod wieloma względami. Inne nacje, jeśli chodzi o zespołowy taniec jazzowy, chyba nigdy nie podciągną się do poziomu tego egzotycznego pierwowzoru.

Nie tak dawno temu bawiły w Europie dwa zespoły murzyńskie: „The Blackbirds“ i „Chocolade Kidies“. Oba wyszły z nowojorskiego Harlemu — i jeden i drugi składał się z dziewcząt, które wychowały się „w cieniu drapaczy chmur“. Co więcej — już ich rodzice, a może i dziadkowie byli poczciwymi, nowojorskimi mieszczuchami. A jednak mimo to, gdy odezwały się pierwsze dźwięki saksofonów, tęsknie zawodzących „St. Luis Blues'a“, lub gdy trąbka podchwyciła refrain „Virginji“ i „Hallelujah“ — dziewczęta te, jeszcze w południe spacerujące w wytwornych sukniach po bulwarach, wieczór na deskach „Casino de Paris“ zmieniały się momentalnie w prawdziwe mieszkanki murzyńskich wiosek i tańcem, pełnym szalonego temperamentu i egzotycznego wdzięku czarowały tysiące „białych“ widzów. Bo takie właśnie są kolorowe girlsy...

J. L.



Na lewo: Ina Filipoff jako kapitan huzarów, których uosabiał zespół girlsów paryskiego Tabarin.



Powyżej: Jeden z obrazów wielkiej rewji „La Folie d'Amour“ w wykonaniu girlsów paryskiego Folies Bergères.



Na prawo: „The Blackbirds“ — amerykański zespół kolorowych girlsów, który niedawno temu odbywał tournée po europejskich music-hallach, a w londyńskiem Colloseum dał zgórą kilkaset przedstawień.



Na prawo: „Sisters Mitsu-Machi-Midi“ z zespołu Geisha-Girls — najnowszy „eksport“ Japonji do Stanów Zjednoczonych.

Cosmo-Photo — Paryż.



Na prawo: Binnie Douth, solistka zespołu girlsów wytwórni „Paramount“.

NASZ KONKURS

NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ

z 3-ma nagrodami: I. 200 zł. ◆ II. 150 zł. ◆ III. 100 zł.

Redakcja „Asa", otrzymując liczne prace nietylko od zawodowych literatów, ale też i od osób stawiających pierwsze kroki w dziedzinie beletrystyki, postanowiła w drodze „Konkursu na najlepszą nowelę" wydobyć na światło dzienne nowe, budzące się talenty i umożliwić im zadebjutowanie przed licznem gronem Czytelników w charakterze

laureatów lub wyróżnionych w Konkursie.

„Konkurs na najlepszą nowelę" odda niewątpliwie dobre usługi tym wszystkim, którzy mają coś do powiedzenia w zakresie noweli i którzy dotychczas nie mieli sposobności wystąpić na szerszej arenie literackiej. „Konkurs na najlepszą nowelę" rozpoczynamy z dniem dzisiejszym, a termin jego zamknięcia wyznaczamy na 1 października b. r. Jako nagrody zostały ustanowione: I. w kwocie 200 zł. — II. w kwocie 150 zł. i III. w kwocie 100 zł. Pozatem Jury Konkursu wyróżni te nowele, które aczkolwiek nie uzyskały nagrody, posiadać będą

bezsprzeczne wartości literackie.

Redakcja „Asa" zastrzega sobie prawo druku wszystkich nagrodzonych i wyróżnionych w Konkursie nowel, za zwykłem honorarjum, wedle obowiązujących w Wydawnictwie stawek wierszowych.

Nadsyłane na Konkurs prace winne być napisane na maszynie i zaopatrzone odpowiedniem godłem, które należy uwidocznić na zamkniętej kopercie, zawierającej imię i nazwisko autora i dokładny jego adres.

Objętościowo nowela nie może przekraczać 250 wierszy pisma maszynowego, ani też nie powinna liczyć mniej, niż 100 wierszy takiego pisma. Tematy nowel mogą być dowolne. Należy jednak unikać wprowadzania nastroju wybitnie tragicznego. Natomiast pożądanem jest, by prace, nadsyłane na Konkurs, miały za tło

Polskę we wszelkich jej przejawach życiowych.

Skład Jury Konkursu podany będzie w jednym z najbliższych numerów Magazynu „As".

Redakcja.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

NOWOŚCI

(Vide zdjęcia obok).

Zdaje się, że dla Sowietów trzeba będzie wprowadzić osobny dział, bo oto znowu możemy zaprezentować (z zbioru dyr. Landaua) znaczek prawdopodobnie nieznany naszym Czytelnikom, przedstawiający L. Tołstoja. Kolor zielono-czarny-heliograwura.

W Grecji po wydaniu przedrukowanej serji koronacyjnej używa się obecnie znaczków z widokami antycznej i nowej Hellady. Zamieszczamy fotografję znaczka za 4 drachmy (kolor brązowy). W Argentynie zakończono wreszcie drukowanie serji z wizerunkiem Bolivara — bohatera krajów poł. amerykańskich w walkach o niepodległość. Nowa serja — to widoki miast, sławnych ludzi, a na znaczku 30 centamos widzimy lamę podobną raczej do grubo ciosanej bryły, aniżeli do zgrabnego zwierzęcia.

Adresy zbieraczy: Mgr. Alfred Hübner — Lwów, Stryjska 20, Belgja, Rosja Sow., Austrja.

Z. Sawicki, Turek, Skrytka Pocztowa 34. — Znaczki i kartki pocztowe całego świata.





Na lewo: Nowy znaczek Rzeszy niemieckiej, wydany z okazji VI-go międzynarodowego zjazdu gmin, który odbył się od 7 do 16 czerwca. Ciekawe jest symboliczne przedstawienie gminy, opiekującej się młodzieżą.



Na torze wyścigowym w Epsom walczą najlepsze konie świata o pierwszeństwo.

I u nas odbywają się wyścigi konne, które gromadzą wcale znaczne tłumy widzów. I u nas gra się w totalizatora, który czasem przynosi wcale niezłe wypłaty. Ale wszystko to jest niczem w obliczu takiego Epsom!

Na małą mieścinę angielską w kulminacyjnym dniu zawodów konnych zwrócone są oczy, jeśli nie całego świata, to napewno całej, i to bez wyjątku Anglji. Przy znanym w Anglji szale zakładania się o wszystko, nie ma w dniu tym chyba ani jednego człowieka, jak Anglja długa i szeroka, aby nie założył się z kimś, lub, któryby nie wpłacił swojego grosza do oficjalnego totalizatora.

HIGH-LIFE W EPSOM

Specjalne pociągi, autobusy, automobile i starodawne breaki przywożą tłumy ludzi do Epsom. Liczbę ich obliczają na zgórą pół miljona. Rekord ten bije chyba jeden tylko wyścig Cambridge—Oxford, kiedy nad brzegami Tamizy zbiera się około miljona osób.

Ale tu mamy inny obrazek. Olbrzymi tor wyścigowy otoczony jest bardzo prymitywnemi urządzeniami. Trybuny wcale nie są tak imponujące, jakby się tego można było spodziewać po ojczyźnie sportu. Całość przypomina żywo raczej jakiś jarmark, niż poważną imprezę sportową. Wnętrze olbrzymiej elipsy toru wyścigowego zawiera miejsca bezpłatne. Tam więc gromadzi się większość zwolenników wyścigów, którzy tak mało mają pieniędzy, jak dużo chcą przeżyć emocyj.

A emocyj tych nie brak. Każdy przecież postawił na jakiegoś konia z tych 28, które zgłoszono do wyścigu o największą nagrodę „Derby". — Każdy chciałby wygrać i za jednym zamachem zdobyć pokaźniejszą sumkę pieniędzy. Za ogólnego faworyta uchodzi koń „Pay Up". Na niego najwięcej stawiano, gdyż poprzednie jego sukcesy np. w wyścigu o 2.000 gwineji, całkowicie upoważniały do właśnie takiego ulokowania swych nadziei.

Nareszcie sygnał startera i grupa 22 koni, które ostatecznie stanęły na starcie, ruszyła. Dystans 2.400 m nie jest krótkim, ale mimo to sekundy lecą jak z bicza strzelił. Serca żywiej biją, nadzieje rosną i... maleją.

Ale los lubi płatać figle!... Już kilkaset metrów po starcie widziało się, że „Pay Up" tym razem nie wygra. Na czoło wysunęły się konie stajni wodza mahometan hinduskich, znanego miljonera, Agi Khana, „Mahmoud" i „Taj Akbar". O ile ten ostatni koń cieszył się dość znacznem zaufaniem, o tyle „Mahmoud" był kompletnym outsiderem. Obydwa konie wysunęły się daleko do przodu, a im bliżej mety, tem więcej „Mahmoud" oddalał się od swego kolegi stajennego. Nawet trzecie miejsce nie dostało się faworytowi „Pay Up". Odebrał mu je „Thankerton".

Na prostej „Mahmoud" miał już dwie zgórą długości przewagi, a na mecie różnica, dzieląca go od „Taj-Akbara" wynosiła trzy pełne długości. „Mahmoud" pozatem ustanowił rekord trasy w czasie 2.33.8. Miljoner Aga Khan zgarnął nowy zapas złota do swych i tak pełnych skarbców. Zapas był tem większy, iż wypłaty za „Mahmouda", jako outsidera wynosiły 100:8, a za „Taj-Akbara" 6:1. Za „Thankertona" płacono 33:1. A więc ci, którzy stawiali na „fuchsy" tym razem porobili majątki.

W kole: High-life miesza się w Epsom z tłumem zwykłych śmieterlników, który przybył setkami autobusów...



U dołu na lewo: Aga Khan, jeden z najbogatszych ludzi świata, prowadzi na torze zwycięskiego konia „Mahmouda", który przyszedł jako pierwszy do mety.

U dołu na prawo: Koń wyścigowy Agi Khana „Taj Akbar" przybywa do stajen wyścigowych w Epsom.





Inna rzecz, że wyścig o nagrodę lorda Derby zwykle jest widownią wielkich sensacyj i zwycięstw outsiderów. Niemal co roku trafiają się takie niespodzianki, które wpływają na coraz to większe zainteresowanie tym wyścigiem.

To też wśród tych tłumów, które podniecone wyścigiem, rozradowane wielką wypłatą czy też zrozpaczone spowodu przegranej, opuszczały tor wyścigowy w Epsom, widzieliśmy przedstawicieli najrozmaitszych sfer. Obok reprezentantów świata arystokracji i plutokracji widziało się dziesiątki tysięcy osób całkiem ubogo ubranych, którzy potem rozpoczęli szturm na pociągi popularne i autobusy. A równocześnie sunął z zielonej murawy w Epsom sznur wspaniałych limuzyn i rekordowych maszyn, uwożąc elitę Anglji do jej wspaniałych pałaców.

Zwycięski koń „Mahmoud" został udekorowany błękitną wstęgą Derby i jego właściciel, potężny nietylko wpływami i majątkiem, ale także postawą i wagą, Aga-Khan odprowadził go do stajni, trzymając ulubieńca nieco zbyt ostrożnie... na długiej linewce.

Epsom przeżyło po raz 157 swój wielki dzień i teraz znowu zapadło w sen małej mieściny angielskiej, aby obudzić się do nowych sensacyj za rok...

Wł. (Londyn).

ANNA BOLEYN



Henryk VIII., zwany „Sinobrodym".



Na prawo: Anna Boleyn (według portretu Holbeina).

W dniu 19 maja b. r. minęło czterysta lat od ścięcia pięknej Anny Boleyn, drugiej żony Henryka VIII, oskarżonej przez niego o wiarołomstwo, kazirodztwo i uprawianie czarów. Postać tej młodej kobiety żyje w pamięci naszej, jako prototyp pokrzywdzonej, wyzyskanej i porzuconej kochanki, którą zgubiła następczyni jej, jasnowłosa Joanna Seymour. Zdawałoby się, że dzieje życia i miłości nieszczęsnej Anny są jaskrawym dowodem okrucieństwa jej królewskiego małżonka, a ona sama ofiarą losu, jeśli nie własnej naiwności. W takiem oświetleniu przedstawiają ją powieściopisarze, poeci (Chenier, Romani) i kompozytorzy operowi, z których G. Donizetti właśnie „Annie Boleyn" zawdzięcza swój pierwszy, wielki triumf.

Nie ulega wątpliwości, że Anna Boleyn odegrała w dziejach Anglji wielką rolę, jako matka największej władczyni tego państwa, Elżbiety i jako moralna przyczyna zerwania Henryka VIII z Kościołem katolickim. W życiu niestałego małżonka swego była, jak się zdaje, jedyną wielką namiętnością i kto wie, czy bezpośredniego powodu popadnięcia w niełaskę i śmierci nie należy szukać z jednej strony w zazdrości Henryka VIII o tę zalotną i poważną kobietę, z drugiej w jej lekkomyślności i zbyt porywczym charakterze.

Dzieje wyniesienia na tron Anny świadczą pochlebnie o jej sile woli, rozumie, stanowczości i zdolności panowania nad sobą. Dowodzą jednak, że umiała ona wyzyskać słabość króla i że uczucie jej nie było ślepem, ani bezkrytycznem. Miała zresztą dowód, jak trzeba być z nim ostrożną, na siostrze swej Marji, która przez pewien czas cieszyła się także względami króla, ale nie umiała przywiązać go do siebie. Zresztą, rodzina Boleyn znała dobrze Henryka, jako niepoprawnego „bohatera spódniczkowego", gdyż matka obu sióstr, Elżbieta Howard przyjmowała go w domu męża przez długi czas, jeszcze jako następcę tronu, a ojciec ich, Tomasz Boleyn, jemu właśnie zawdzięczał niespodziewaną nominację na zarządcę miasta Calais, które wówczas należało do Anglji.

Król poznał Annę u jej siostry Marji, która mieszkała wówczas, jako oficjalna jego metresa, w zamku Windsorze i zakochał się w niej odrazu. W istocie, Anna miała niezwykły dar oczarowywania mężczyzn, a legenda głosi, że już jako czternastoletnia dziewczynka, w czasie pobytu z siostrą na dworze francuskim, budziła zachwyt i zwróciła na siebie uwagę nawet samego króla, Franciszka I.

Z chwilą przybycia Anny do Londynu w roli damy honorowej jego pierwszej żony Katarzyny Aragońskiej, zaczyna się współzawodnictwo między temi dwiema kobietami, z których jedna broni praw małżonki, władczyni i matki, a druga dąży konsekwentnie do tronu i o ile można wierzyć, nie waha się nawet żądać od kochanka skazania na śmierć lub otrucia swojej poprzedniczki. Henryk VIII stracił głowę z miłości do Anny, ale znał dobrze jej wady i ociągał się z spełnieniem tej prośby. Wybrał drogę pośrednią. Postanowił uzyskać rozwód i dopiero kiedy papież Klemens VII zaczął robić trudności, zdecydował się na krok bardzo śmiały. Zerwał z religją katolicką, ogłosił się głową kościoła anglikańskiego i poślubił potajemnie Annę, nie czekając na rozwód, który mu dał dopiero później arcybiskup z Canterbury Crammer, powolne narzędzie egoistycznej polityki króla.

Trzy lata, spędzone przez Annę przy boku Henryka VIII w roli żony, były ciągłą walką o usunięcie pierwszej jego małżonki Katarzyny i ciągłem staraniem się o odebranie praw do tronu jej córce Marji. W walce tej Anna była nieubłaganą, a wszelkie trudności czyniły ją tylko bardziej zaciętą. Ostatecznie udało się jej namówić Henryka do uznania ich dziecka, Elżbiety, za następczynię tronu i ogłoszenia tego publicznie. Tomasz Moore, dawny kanclerz i biskup Fisher nauczyciel króla przypłacili śmiercią niechęć wobec zarządzeń Henryka, inspirowanych przez jego drugą żonę. Anna lękała się o władzę, a nadewszystko lękała się rywalki. A Katarzyna Aragońska właśnie w ten sposób postanowiła zemścić się na tej, która pozbawiła ją tronu i męża. Poznanie króla i Joanny Seymour było dziełem jego rozwiedzionej żony. Nowa przyjaciółka umiała przywiązać do siebie niestałego władcę, a Anna, przywiedziona do rozpaczy, uniesiona gniewem i żalem kazała otruć Katarzynę Aragońską. Śmierć tej kobiety nie mogła już jednak oddać w ręce Anny tych atutów, których tak bardzo pragnęła. Serce króla należało w tym czasie do pięknej Joanny Seymour.

Wszelkie wysiłki celem odzyskania miłości króla spełzły na niczem. Henryk bawił się bardzo dobrze z nową kochanką, a Anna widywała się z nim coraz rzadziej. Może się jej lękał. Wiedział z doświadczenia, że gniew jej może być straszny. To też z dnia na dzień malały wpływy królewskiej małżonki i z dnia na dzień towarzystwo Joanny było milsze królowi. Wreszcie przyszło do katastrofy. Henryk postanowił pozbyć się żony. — Mówią mi — rzekł pewnego razu do kanclerza Cromwella — że Anna jest czarownicą. — A Cromwell mimo, że równie jak król, nie wierzył w czarownice, skorzystał z tej znamiennej uwagi. W kilka dni później uwięziono Annę wespół z bratem jej Jerzym i kilku przyjaciółmi z lat dziewczęcych. Jeden z nich, wzięty na tortury, złożył oskarżające królową zeznania. To wystarczyło. Zwołano sąd, który był tylko parodją. Rzecz ciekawa i charakterystyczna dla stosunków, panujących na angielskim dworze; jednym z sędziów, którzy zasądzili Annę na karę śmierci za kazirodztwo, wiarołomstwo, obrazę majestatu i czary, był jej własny ojciec, Tomasz Boleyn. Wuj Anny, Howard, dawny jej wielbiciel i eksnarzeczony Percy oraz sam król podpisali wyrok, skazujący ją na ścięcie wraz z bratem i kilkoma towarzyszami niedoli. Wyrok wykonano około dziewiątej rano w 1536 roku, a wystrzał z działa oznajmił królowi, że jest wolny.

Na drugi dzień wstąpił Henryk VIII w związki małżeńskie z Joanną Seymour, którą sprowadził do Londynu z zamku Whitehall. Ślub odbył się z wielką uroczystością, jakby chodziło o okazanie światu, że śmierć tej, którą kochał i dla której zerwał z całą prawie katolicką Europą, jest dla króla tylko zwyczajnem ukaraniem grzesznicy.

Wanda Skurczyńska.

SZKICE T. STYKI





Jedną z najtrudniejszych gałęzi malarstwa jest współczesny portret kobiecy. Trudności tkwią w samym modelu.

Kobietę współczesną stwarza, przemienia, upiększa moda. Ona narzuca nietylko kobiecie strój, ozdoby, lecz i linję i wagę ciała oraz jej psychiczny charakter i wyraz. Według rozkazów dyktatorów mody upodabnia się ona i wstępuje w szereg serjowych typów, stworzonych np. przez gwiazdy filmu. W naszym wieku poza fabrykantami mody istnieją również fabrykanci piękności. Mają oni swe warsztaty i maszynerje w gabinetach kosmetycznych, w których dokonywuje się najzawilszych zabiegów kosmetycznych i operacyjnych, przekształcających do cna naturę. Tak spreparowana i stypowana piękność zgłasza się w pewnym momencie do portrecisty, żądając wykonania swego wizerunku. Nieszczęśliwy artysta otrzymuje model w masce, w którym wszystko jest sztuczne — zacząwszy od koloru włosów, maquillage'u twarzy i kolji najmodniejszych ząbków. Prawdziwemi w takiej transakcji bywają jedynie dolary, za które nieszczęśliwy malarz musi stworzyć portret, podkreślający indywidualne zalety oraz wydobywający psychikę kobiety spod warstw kremów kosmetycznych.

Tadé Styka, malarz miljonerek, wie, czego potrzeba takiej duszyczce, wie jak zdjąć z maseczki warstewki subtelnych substancyj, nadać jej inne — te właśnie, które dyktuje krzyk mody. Przejrzał on tajemnice wszystkich siedmiu pieczęci gabinetów piękności, a w swem atelier stwarza nową kreację, podkreślającą mistrzowsko szczegół, być może nieistniejący, lecz najbardziej błyskotliwy. Sobą jest Styka jedynie wtedy, gdy maluje portrety mężczyzn. Osiąga wówczas podobne rezultaty, jak w znakomitym portrecie prof. Zielińskiego, wystawionym obecnie w wiosennym salonie Grande Palais w Paryżu. Kosztowną jest sztuka poznania kobiety i dlatego drogą jest sztuka Tadé Styki. Kobiety lubią sztuczność i pragną nadewszystko, aby malarz pokazał ich wdzięk i piękno, choćby ono było nawet skłamane. Taką jest kobieta współczesna — takim jest jej portret. m. d. d.
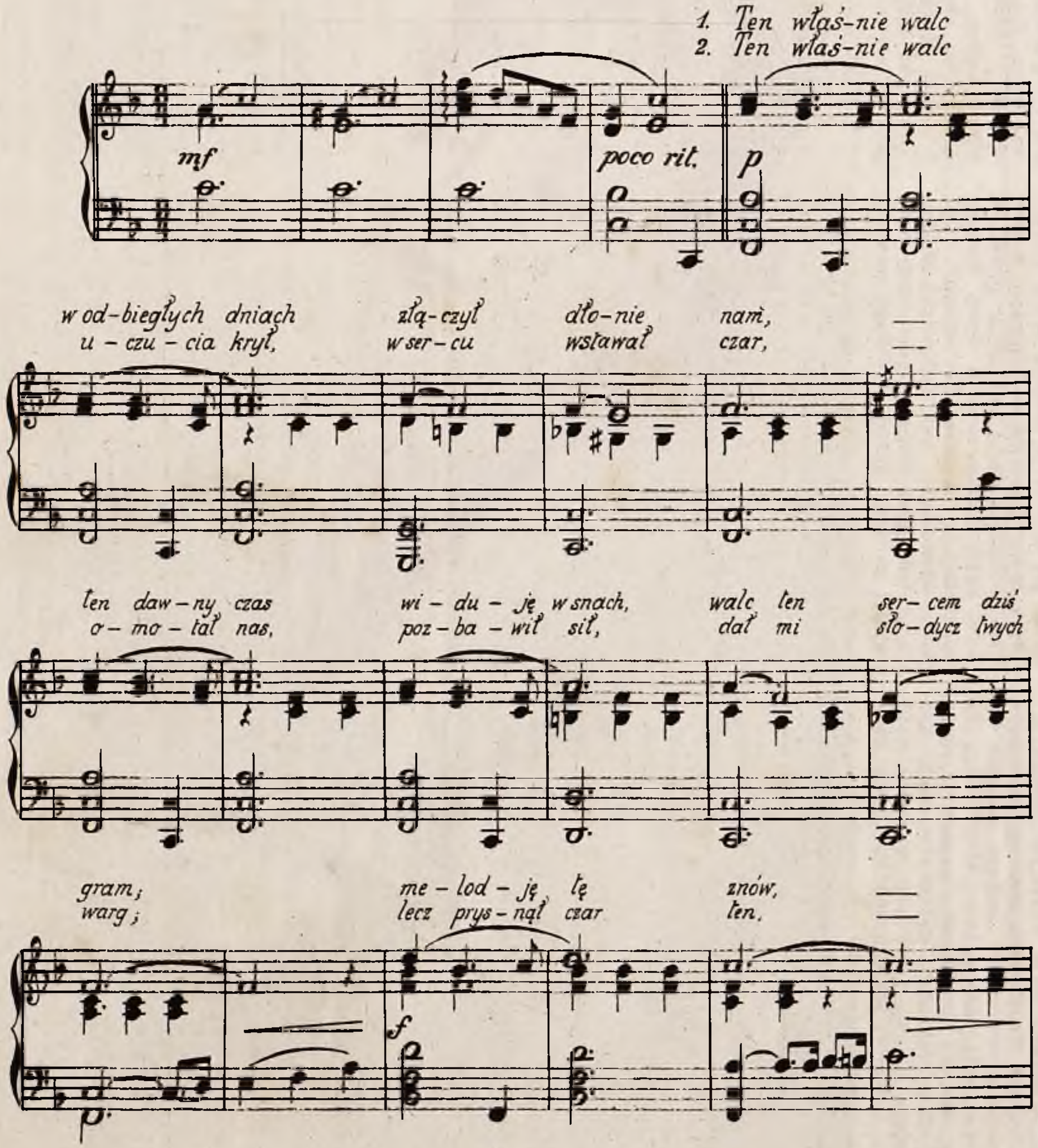


NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY
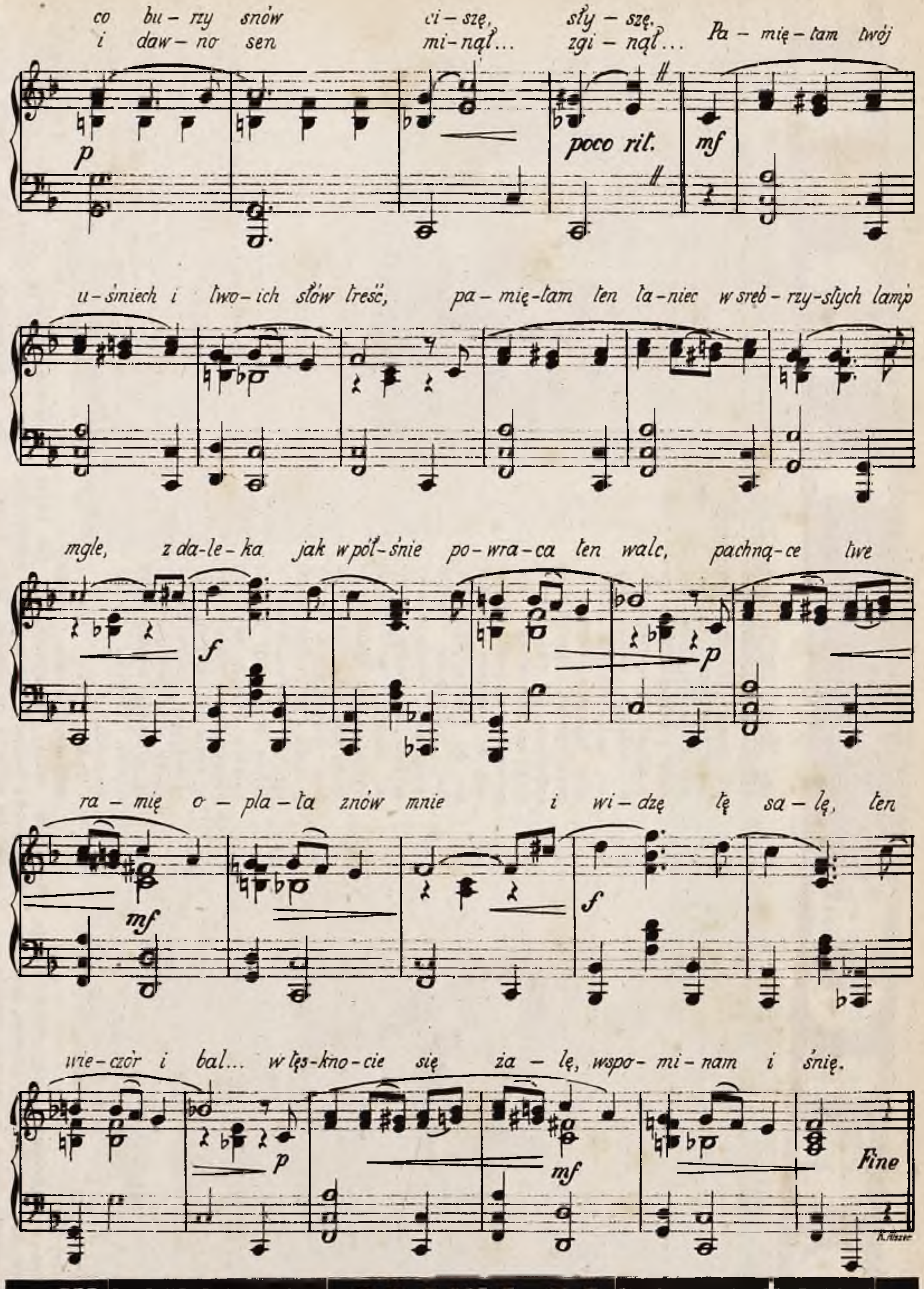
Pamiętam twój uśmiech...

Walc-piosenka.

Słowa:
Witolda Zechentera.

Muzyka:
Kazimierza Meyerholda.







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 3.

Napisał H. WILDE — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

— To coś, jak wybrzeża Morza Śródziemnego dla drzewa oliwnego. Najlepsze marki chińskiej herbaty pochodzą z Fo-Kien. Toteż Swatow, Amoy i inne porty, ukryte w zatokach tego skalistego, bez końca ciągnącego się wybrzeża, ładują corocznie olbrzymie ilości herbaty. Potrzebujemy licznych ajentów na tem wybrzeżu. W Swatow mamy tylko jednego i to nie bardzo tęgiego... Ten chłopak doprawdy nie jest asem! A nawet, poprostu powiedziawszy, jest lekko głupawy... Jeśli się panu Swatow spodoba, postarałbym się umieścić tam pana. Mógłby pan sobie wyrobić wcale korzystną sytuację — jakieś 300 dolarów miesięcznie. Zczasem zrobiliby z pana inspektora. Lubi pan podróże: posada taka byłaby, jak stworzona, dla pana!

Nie powiedziałem mu narazie ani tak, ani nie. Zastrzegłem sobie decyzję, aż zobaczę na miejscu, jak owo Swatow wygląda.

IV.

— Nie był pan nigdy w Swatow? — Niewiele pan stracił. Nieciekawa dziura. Mały chiński port — naogół, bardzo ladajaki — i wąskie, śmierdzące uliczki, rojące się od świń i bezpańskich psów. Miasteczko gnieździ się na delcie, ujęte w widły dwóch ramion rzeki, stale zapchanych chińskiemi łodziami. Jednem słowem to samo, co pan widział, na szerszą skalę, w Kantonie albo gdzieindziej: typowe miasteczko południowo-chińskie. Tłuści Kwantunczycy, o świecących gębach, wystają na progu swych sklepów dzień cały — a chudzi, o zapadłych brzuchach kulisi, kręcą się po ulicy. Dwie czarne jamy — to oczy; spłaszczony nos, z szeroko rozstawionemi dziurkami, zaledwie wystaje z twarzy, o silnie rozwiniętych kościach policzkowych — i ogolone krągłe czaszki. Wszystko to sprawia, że głowy nędzarzy w Chinach południowych, za życia już podobne są do trupich czaszek. Chińczycy z północy stoją fizycznie wyżej...

Na ulicy mrowił się nieustannie tłum ludzi, którzy nie chodzą nigdy, lecz ustawicznie biegną. Wiało z tych uliczek zapachem morza i wyziewem kanałów — z domieszką kuchennych zapachów, — a więc frytury i korzeni: atmosfera wspólna wszystkim portom chińskim. Zna pan tę mieszaninę...

Ani jednego ciekawego budynku w mieście. Mówiono mi, że w okolicy znajdowało się kilka ładnych pagod. W Chinach, w pobliżu miast, w pięknych, jakby umyślnie na ten cel wybranych zakątkach, można zawsze spotkać pagody. Nie da się zaprzeczyć, że ludzie tamtejsi mają głębokie odczucie natury i zręczność wykorzystywania jej piękna dla artystycznych celów. A nie wyglądają na to wcale... Lecz nie zdążyłem zwiedzić okolic Swatowa, bowiem pobyt mój tam przerwały wydarzenia — trochę nie przewidziane — które opowiem panu dalej.

Krótko mówiąc Swatow, była to dziura, co się zowie! Nie zachwyciło mnie też wcale. Znałem inne miasta chińskie i lubiłem nawet niektóre z nich. — Tutaj — mówiłem sobie — przyjdzie wnet zdechnąć człowiekowi z nudów! — Europejczyków było mało — kilku Anglików zaledwie, — co nie było zachęcające... Wiedziałem wprawdzie, że takie chińskie miasteczko z początku robi często odrażające wrażenie — a po pewnym czasie nie może się człowiek rozstać z niem. — Niesamowity jakiś wpływ miewają te miasteczka... Ale co się tyczy Swatowa, wydawało mi się to niemożliwem...

Kiedy stanęliśmy w Swatow, zapoznałem się odrazu z owym ajentem firmy herbacianej. Znajomy mój nie przesadził zgoła, mówiąc, że pan ten nie był asem. Był to zaprawdę rzadki dureń! Był piękny — taką pięknością klasycznej lalki fryzjerskiej — o nieprawdopodobnej wprost głupocie i do tego zawsze bajecznie zadowolony ze siebie. O Boże! i jak zadowolony! — A gadatliwy przytem: słowa płynęły mu z ust, jak woda w rzece. Odzywał się o wszystkiem z niebywałą pewnością — a w rezultacie można powiedzieć, że istniały dla niego dwie kategorje rzeczy: te, których nie znał wogóle — i te, które nie rozumiał.

Nie potrafiłem nigdy taić moich wrażeń. Toteż nazajutrz zaraz rzekłem do mego towarzysza:

— Na nerwy mi działa ten idjota! Nie wytrzymam długo, z tym zarozumiałym pedantem!

— Nie będzie pan siedział długo w Swatow. Martigues, bo zapuścił tu już korzenie! W centrali są zdania, że jedyne, do czego można go użyć, to jako pośrednika między firmą, a tutejszym naszym chińskim dostawcą.

Poznałem również owego Chińczyka. Nie był to Katończyk, lecz pochodził z Kiang-Sou, z okolic Nan-Kingu. Czterdziestoletni pan — dosyć dużego wzrostu i tęgi — o przystojnej nawet twarzy, opatrzonej w duże, okrągłe okulary, w szyldkretowej oprawie. Był niezmiernie uprzejmy — jak tylko człowiek z Dalekiego Wschodu potrafi być uprzejmy. Mój znajomy zachwalał mi go, jako człowieka nieposzlakowanej uczciwości. Firma ceniła sobie bardzo współpracę handlową z nim. Wie pan pewnie — jak każdy Europejczyk, nie zaślepiony przesądami — że Chińczyk naogół jest uczciwy w interesach. Będzie się zręcznie targował — zawrze inetres, o ile się da najkorzystniejdi dla siebie — ale, dawszy raz swoje kupieckie słowo, nie cofnie się nigdy. Bywają wyjątki — ale rzadkie.

Chińczyk ów — nazywano go „Master Koo" — (jak dalej brzmiało jego skomplikowane nazwisko, nie przypominam już sobie) był bardzo bogaty. Był to jeden z największych handlarzy herbacianych w Swatow. To, co słyszałem o nim od jego przyjaciela, usposobiło mnie względem niego raczej sympatycznie.

I tutaj muszę nadmienić o jedynej rzeczy, która w opowiadaniu doktora o pani Vernod była prawdziwą. Owego dnia, po zapoznaniu mnie z Mr. Koo, kiedy Chińczyk, pożegnawszy się już

z nami, wsiadł do swej lektyki, przyjaciel mój rzekł:

— Mr. Koo jest żonaty z Europejką.

— Z Europejką?! — Żartuje pan chyba!

— I to nawet z Francuską.

Wyraziłem mocne powątpiewanie w możliwość czegoś podobnego. Lecz przyjaciel mój zaręczył:

— Słowo honoru panu daję!

— W takim razie, to Eurazyjka, chyba*).

— Nie, czystej krwi Francuska.

Widziałem więc, że to nie był żart, lecz zdumienie moje nie ustępowało.

— Widziałem już takie wypadki — ale w odwrotnym stosunku; to jest Europejczyków, którzy pożenili się z Chinkami. — Ale i to jest rzadkie. Konkubinat — tak, to się zdarza... Ale czy pan naprawdę mówi, że ta Francuska jest poślubiona Mr. Koo?

— Tak jest!

— Legalnie?

— Najzupełniej legalnie.

— To się nie zdarza prawie... A wiwało, trochę skwapliwie. — Mr. Koo wspomniał o tem przedemną raz, czy dwa razy... Pan wie, Chińczycy nie lubią mówić o żonach.

* * *

— Więc pani Vernod — to jest expani Koo? przerwałem, bardzo zaciekawiony. — Jakże się to stało?

— Powoli, powoli! — odrzkł Rancé. — Dowie się pan wszystkiego...

* * *

Po trzech dniach, przyjaciel mój opuścił Swatow. Przed odjazdem rzekł mi:

— Mniejwięcej za miesiąc, będę tu spowrotem. Mam nadzieję, że do tego czasu zdecyduje się pan i zostanie w Swatow na stałe. — To jest nie „na stałe" — bo obiecuję panu, że nie posiedzi pan tu długo.

W miesiąc później... Mój Boże! W miesiąc później, Swatow — Martigues — Mr. Koo — jakież to wszystko było już dalekie! A Mr. Koo był jeszcze dalej, niż wszystko inne...

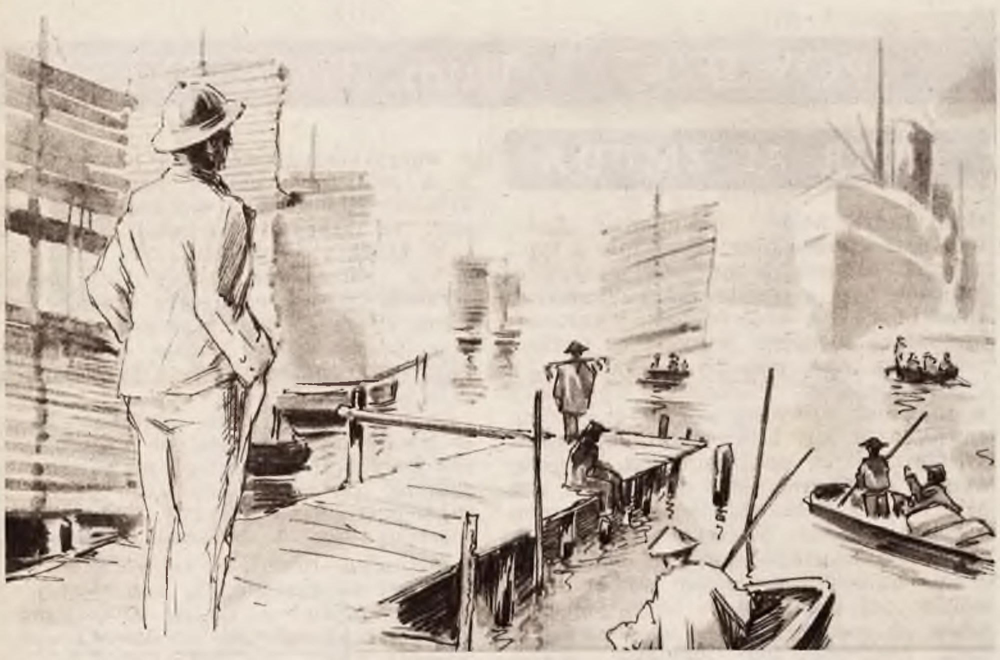
Kiedy znajomy mój wyjechał, włónie mógł jednakże powstrzymać się, by nie pozować przedemną. Był to jeden z tych idjotów, u których poza staje się drugą naturą i których można bezkarnie nabierać, ile dusza zapragnie. Uważał się za handlowca pierwszej klasy — za finansistę na szeroką skalę. Nie zdawał sobie sprawy, że, aby podołać obowiązkom, które ciążyły na nim w Swatow, nie trzeba było wcale urodzić się genjuszem! Bawiłem się nim setnie, a on. oczywiście, nie spostrzegał tego wcale. — Na kilka dni, może to być zabawne — ale na dłużej rozrywka taka nie bardzo podobała mi się..

Umyślnie mówię dosyć szczegółowo o tym człowieku. Był to kretyn beznadziejny, jednakże odegrał ważną rolę w tej historji.

Muszę panu wyznać, że choć zadecydowałem w duchu, iż pani Koo musi być najzupełniej szpetną — bo jeżeli zgodziła się zostać żoną Chińczyka, to chyba dlatego, że nie mogła mieć nadziei na lepszą partję — jednakże byłbym chętnie zobaczył tę panią. Wyobrażałem sobie, że Chińczyk ów musi poczytywać sobie za zaszczyt fakt, iż posiada żonę Europejkę. Byłem młody wtedy i mimo wszystko — jakby to powiedzieć? — było dla mnie coś romantycznego w losie tej kobiety... A gdyby to była jednak kobieta młoda — i ponętna?... Lecz mało miałem szans ujrzenia jej. Nie mogłem przecież popełnić tak niebywałego nietaktu i zacząć mówić o niej z Mr. Koo!

A może tak jednak spróbować szczęścia? — Iść tam... Może udałoby się zobaczyć ją?... Ale i to nie było łatwe. Chińczyk mieszkał za Swatowem, po drugiej stronie zachodniego ramienia rzeki, prawie już na wsi. Codziennie wieczorem powracał na noc do domu, niesiony w lektyce.

Zna pan te wielkie chińskie domy mieszkalne? — Ani jednego okna na ulicę — sam tylko ślepy mur, a wewnątrz dopiero liczne podwórza i ogrody. Nawet gdybym się włóczył dnie całe w pobliżu, mogłem jeszcze nic nie zobaczyć. W dodatku, w Swatow było bardzo mało Europejczyków — zwróciłbym natychmiast uwagę na siebie — i Mr. Koo dowiedziałby się niechybnie, że wałęsam się koło jego domostwa. A w tej okolicy — jak w całem Kwang-Tungu — trzeba być dosyć ostrożnym... Nastrój ludności nie bardzo jest przychylny dla obcych przybyszów... Słyszałem nieraz wyzwiska, rzucane półgłosem pod moim adresem. Xenofobja, która doszła później do takiego rozwścieczenia, zaczynała już wtedy rysować się dosyć wyraźnie.



Zatrzymał się, spuścił kotwicę i stanął na niej, o jakieś 200 metrów od brzegu.

dział pan tę kobietę? — Ładna? — Chyba nie!

— Nie, nigdy. — Jakże pan chce, żebym ją widział?! Nie jest obyczajem Chińczyków pokazywać swoje żony obcym... Mr. Koo nie bywa nigdzie z żoną, tem bardziej u Europejczyków. — I może ma słuszność... — skończył z uśmiechem.

— Musi być szpetna jak noc! — Ale wszystko jedno — to coś niesłychanego! I to, że nie wychodzi, że nie bywa nigdzie... Nie jest przecież Chinką — mogła zażądać pewnej swobody!

— Widocznie, życie takie odpowiada jej — zakonkludował mój przyjaciel.

Wieczorem poruszyłem sprawę małżeństwa Mr. Koo w obecności pana Martigues — tak nazywał się nasz ajent w Swatow.

— Panie Martigues, podobno Mr. Koo ma żonę Francuskę?

— Tak — odrzekł. — słyszałem o tem.

— A nie widział jej pan nigdy?

— Nigdy — odparł, jak mi się zdaczyłem się trzy dni bez celu, po Swatow. Może mi pan wierzyć, że robiłem to bez zbytniego zapału... Przypatrywałem się, jak przypływ odpychał od ujścia, brudne wody w korytach obu ramion rzeki — cofał je i niósł zpowrotem muł, odpadki i padlinę między dżonki i sampany, kołyszące się na linach.

Uważałem, że panu Martigues nie bardzo uśmiechała się perspektywa, iż wezmę na serjo propozycję, którą mi zrobiono ze strony firmy i pozostanę w Swatow. Dawał mi wprawdzie objaśnienia fachowe i wtajemniczał mnie w bieg interesów — bo taki dostał rozkaz zgóry. Lecz mam wrażenie, że z przyjemnością byłby widział jak podnoszę katwicę i odbijam od tych brzegów... Wyczuwałem to wyraźnie pod jego wielką uprzejmością. Nie bardzo rozumiałem, czemu tak było. Przecież nie zrobiłem mu nic złego? Chyba, że chciał rządzić sam w Swatow...? Ale przecież wiedział, że nie nie miałem pozostać tam długo... Zazdrość — czy co?

Mimo antypatji, jaką prawdopodobnie żywił do mojej osoby, Martigues

V.

W tydzień po mojem przybyciu do Swatow, zdarzyło mi się, całkiem nieoczekiwane spotkanie, które napełniło mnie niesłychaną radością.

Pewnego dnia, ukończywszy moje zajęcia herbaciane, pod kierownictwem pana Martigues, wyszedłem około 11-tej rano, by przejść się trochę wzdłuż ujścia Han-kiangu. Ruch większych i mniejszych dżonek, krążących po rzekach chińskich, interesował mnie zawsze. W tych pływających domostwach, pokolenia całe pędzą egzystencję od kolebki do grobu. Tętni w ich wnętrzu i fermentuje tajemnicze, dziwne życie... *(C. d. n.)*

*) Eurasien, Eurasienne — dzieci z ojca białego, matki kolorowej w Azji.

Co ubrać W LECIE?

„Nie mam się w co ubrać..." — to bardzo rozpowszechnione zdanie wśród piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Słyszą je najczęściej mężowie, a choć wyrzut do nich jest najczęściej stosowany, trzeba przyznać, że do nich właściwie nie powinien się zwracać. — Jeżeli pani nie ma się w co naprawdę ubrać, to przedewszystkiem sama temu jest winna. Osoby przewidujące mają zawsze ubiór odpowiedni na każdą okoliczność życiową, bo przyświeca im przy kompletowaniu garderoby praktyczna idea przystosowywania nowych sukienek itd. do przypuszczalnych potrzeb w zakresie prowadzonego trybu życia.

Można mieć różne ograniczone środki, szczupły budżet na potrzeby osobiste i skromną ilość garderoby w szafie, a jednak wystarczy ona w zupełności. Sekret w tem, że trzeba umieć ją kompletować.

Kończymy sezon wiosenny i niebawem wejdziemy w pełnię lata. Praktyczna pani przegląda zawczasu swe letnie stroje i zastanawia się, ile ze zeszłorocznych sukienek można jeszcze zaadoptować do najnowszych wymagań mody. Potem dopiero przychodzi kolej na zakupy rzeczy nowych, względnie dodatków, potrzebnych do uczynienia odpowiednich zmian adaptacyjnych w sukienkach z poprzedniego lata.

Wiosenny kostjum pozostanie na dni chłodniejsze. Można do niego nosić biały żakiecik lub trzyćwierciowy płaszczyk podczas słonecznych dni. Bluzki z organdi nadadzą mu bardzo „letni" wygląd. Mnóstwo sukienek wzorzystych przynosi lato, są one tak praktyczne, że nawet jedna spełni zadanie sukienki do wszystkiego, w godzinach popołudniowych i nad wieczorem.

Kto uczęszcza na wieczorne zebrania towarzyskie w klubach, kawiarniach, garden-party, czy letnich dancingach, musi mieć długą sukienkę z organdi lub innego modnego materjału, jak wzorzysta tafta w lśniące bukieciki kwiatowe na ciemnem tle, georgetta lub białe muśliny, które obrały sobie sympatyczną rolę personifikacji snów nocy letniej, przez zwiewny swój wygląd, pełen poezji i wdzięku. Do sukni wieczorowej konieczny jest żakiecik wcięty, krótki i bardzo kloszowo wykończony lub płaszczyk z tego samego materjału, co sukienka, o rękawach bardzo suto poszerzonych w ramionach, bo to jest linja lata. Suknie z dekoltami — okrycia o sztucznie poszerzonych ramionach, które zwłaszcza w tafcie trzymają się i prezentują doskonale.

Postarajmy się oszczędzić powtarzania przykrych dla otoczenia słów: nie mam się w co ubrać... można na to zaradzić nawet przy bardzo skromnych środkach, jeśli się zgóry o wszystkiem pomyśli i nie sprawia niepotrzebnych, choć często ponętnych, fatałaszków.

Mewa.



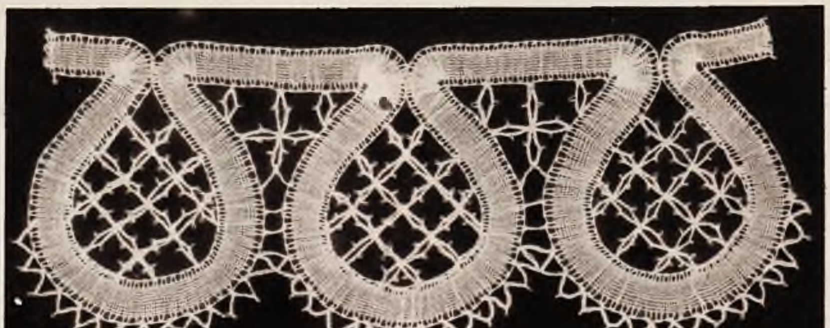
Piękny komplet letni: Futro z białych źrebców o szerokich rękawach, sukienka z flaneli. Kapelusz filcowy, pantofelki i rękawiczki z antylopy





***Na lewo:* Elegancki kostjum angielski z popielatej wełny. Bluzka biała w stylu wybitnie angielskim; kapelusik, torebka i rękawiczki czarne.**

Efektowna suknia z jedwabnej krepy imprimé. Pod szyją kokardka z aksamitki.



Na prawo: Koronka „idrja“ z zastosowaniem płócienka o mereżkowanym brzegu.

M. M. DUDREWICZOWA

II

KORONKI KLOCKOWE

Pasek płócienka z brzegiem mereżkowanym.

Na takim samym kratkowanym pasku, jak pasek płócienka opisany w Nrze 23 Asa, zawieszamy 8 parek na siedmiu szpilkach, bo na ostatniej zawieszamy dwie parki. (Wzór A).

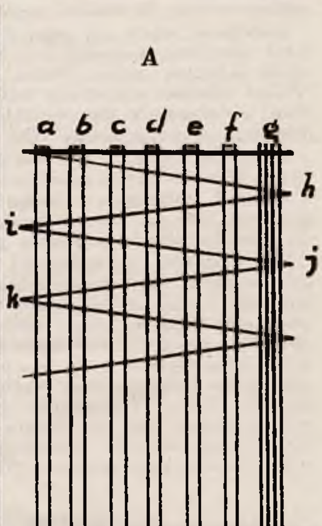
Zaczynamy klockować, jak zwykle z prawej strony od punktu „g“, gdzie zawieszamy 2 parki na ostatniej szpilce.

Po przerobieniu ściegu klockowego odkładamy na górę prawą skrajną parkę, a lewą, tj. przedostatnią kręcimy dwa razy, czyli przekładamy prawy klocek za lewy dwa razy i zobaczymy, że nitki są skręcone. Następnie tę parkę skręconą przerabiamy z następną parką, której nie kręcimy, bo ona tworzyć już będzie gładkie płócienko.

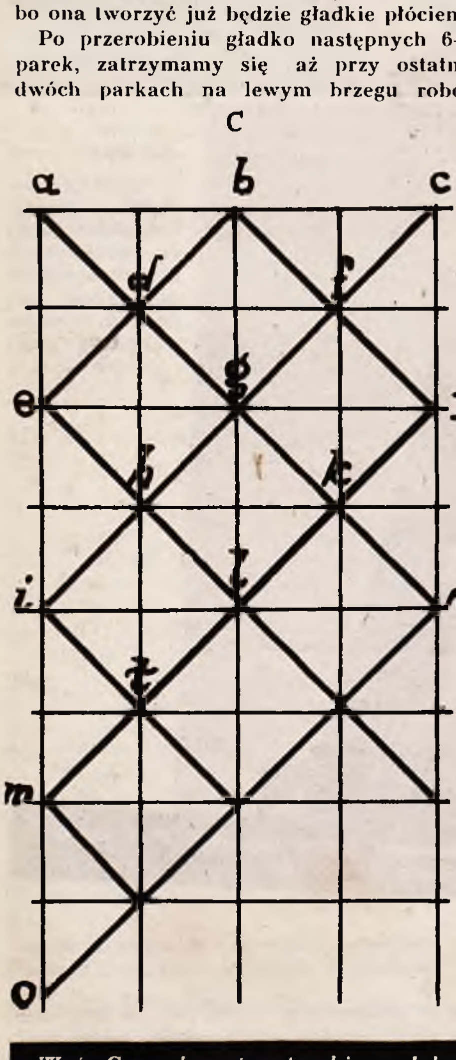
Po przerobieniu gładko następnych 6-ciu parek, zatrzymamy się aż przy ostatnich dwóch parkach na lewym brzegu roboty. Przedostatnią parkę kręcimy 2 razy, a ostatniej wcale nie przerabiamy. Następnie wbijamy szpilkę w punkcie a, tuż przy tamtej szpilce. Po szpilce takież przerobienie. Skrajną lewą parkę odkładamy na górę, a następną jako przedostatnią parkę kręcimy 2 razy, dobieramy parkę z prawej strony, której nie kręcimy, bo zaczynamy już gładkie płócienko i przerabiamy ścieg za ściegiem 6 par, posuwając się na prawo, aż zatrzymamy się przed punktem „h“. Teraz ostatnie 2 parki kręcimy obydwie po 2 razy, przerabiamy ścieg i wbijamy szpilkę w punkt „h“. Po szpilce przerobienie. Prawą skrajną parkę odkładamy na górę, a lewą, to jest przedostatnią kręcimy 2 razy i przerabiamy z następną parką, której nie kręcimy, bo ona należy do płócienka gładkiego.

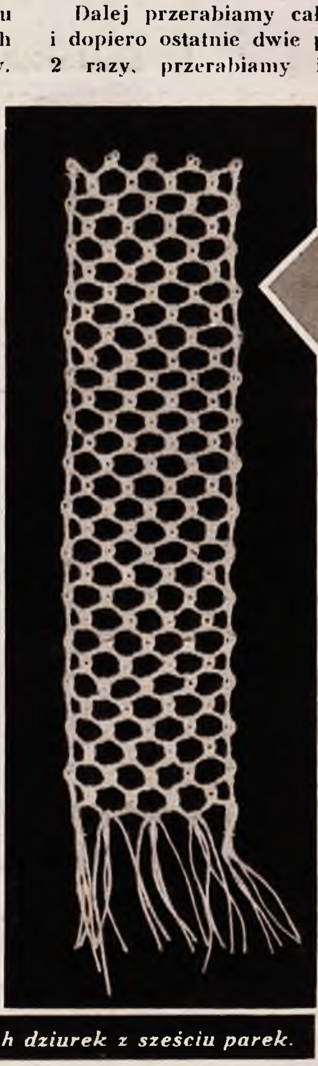
Dalej przerabiamy cały rząd na lewo i dopiero ostatnie dwie parki kręcimy znów 2 razy, przerabiamy i wbijamy szpilkę w punkt „i“. Po przerobieniu po szpilce, lewa skrajna parka idzie na górę, a następną, jako przedostatnią kręcimy dwa razy i klockujemy gładko cały rząd na prawo, gdzie tworzymy punkt „j“. Wkońcu wracamy na lewo i tworzymy punkt „k“. W ten sposób klockujemy dalej. — Zapamiętać należy, by kończąc rządek, kręcić obydwie parki po 2 razy (prócz pierwszego rządka, w którym ostatnie parki na lewo zupełnie nie kręcimy), a zaczynając rządek po przerobieniu po szpilce — skrajną parkę odkładać na górę, a kręcić dwa razy zawsze tylko przedostatnią parkę.





Od lewej: Płócienko z mereżkowanym brzegiem. Wzór A — schemat płócienka z mereżkowanym brzegiem z ośmiu parek.





Wzór C — schemat wstawki z ozdobnych dziurek z sześciu parek.

Ozdobne ściegi klockowe.

Wstaweczka z dziurek, wykonanych ściegiem zasadniczym.

Dziurki zaczynamy klockować po lewej stronie roboty, od góry, po linji skośnej od strony prawej ku lewemu brzegowi. Nowością tutaj będzie wbijanie szpilki w sam środek przerobienia, czyli w sam środek kwadracika zasadniczego ściegu klockowego, który, jak wiemy, składa się z trzech punktów (vide Nr. 23 Asa).

Jakaż więc różnica między tem przerobieniem, a ściegiem opisanym w poprzednim pasku?

Różnica jest wielka, bo odpada nam drugie przerobienie po szpilce wpiętej po całem pierwszem przerobieniu.

Dziurki w tej wstaweczce będą miały kształt rombu, czyli kwadracika skośnego i będą szły środkiem paska. Dziurki zaś po bokach będą miały kształt trójkąta (połowę kwadratu). Boki kwadratów i trójkątów będą kręcone wszędzie po 2 razy.

Zawieszamy 8 parek na czterech szpilkach, a więc po dwie na każdej szpilce. (Wzór B).

Zaczynamy tak klockować: Biorę prawą parkę z punktu

„a" i lewą z punktu „b". Kręcę obydwie po dwa razy na lewo, przerabiam i wbijam szpilkę w sam środek przerobienia, czyli w punkt „e". Prawą parkę odkładam, a do lewej dobieram drugą parkę z punktu „a", kręcę obydwie po 2 razy i tworzę punkt „f". Zeszłam więc po linji skośnej „b—f", od góry do lewego brzegu. Drugi rządek zaczynamy znowu od góry. Biorę prawą parkę z punktu „b" i lewą z punktu „e", kręcę obydwie po 2 razy i tworzę punkt „g". Znowu prawą parkę odkładam, lub podpinam na boku poduszki i posuwam się na lewo ku brzegowi, tworząc punkty „h", „i", następnie zaś punkt „j". Zeszłam więc po drugiej skośnej linji „c—j" od góry do dołu na lewy brzeg roboty.

Następny rządek zaczynam prawą parką z punktu „o" i lewą parką z punktu „d". Kręcę obydwie po dwa razy, przerabiam i tworzę punkt „k". Prawą parkę odpinam, a lewą i dobraną parką z punktu „g" tworzę punkt „l". W ten sposób posuwam się coraz dalej na lewo w dół ku brzegowi, aż do punktu „o".

Czwarty rządek tworzę parkami z punktów „k—d". Obydwie parki kręcę, przerabiam, wbijam szpilkę w sam środek przerobienia, jak powyżej i tworzę punkt „p". Następnie schodzę skośnie, aż do punktu „r".

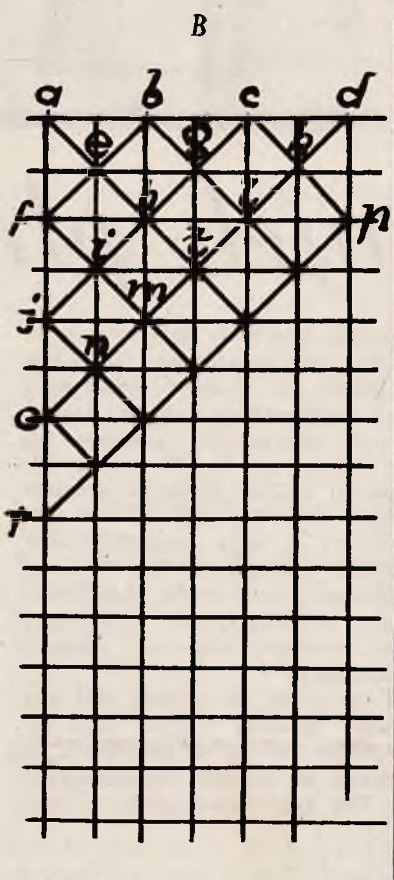
Gdy zaczynamy klockować od góry nowy rządek, to najpierw trzeba wszystkie parki z każdego punktu poprzedniego przerobienia tak poukładać, by parki wisiały wyciągnięte w dół. Klockując zaś po skośnych linjach ku lewemu brzegowi, prawe parki możemy mieć podpięte grubą dużą szpilką na prawym boku poduszki. Jeżeliby ktoś chciał, by brzegi wstaweczki robionej ściegiem zasadniczym były mocniejsze to klockuje przerobienia (ale tylko ostatnie) na brzegach ściegiem ozdobnym, (który jest opisany obszernie poniżej), a więc robi całe przerobienie przed szpilką i całe przerobienia za szpilką.

nie tworzę punkt „h" i punkt „i". Zeszliśmy znów z góry skośnie na dół do brzegu. Skrajną parkę z lewej strony odkładamy na górę, a reszta parek z przerobionych punktów wisi na przodzie poduszki i czeka, aż zaczniemy trzecim rządkiem schodzić z góry skośnie na dół i będziemy te parki wiszące zabierać po kolei, a po przerobieniu po szpilce zawsze prawą parkę odkładamy na bok poduszki.

Trzeci więc rządek zaczynamy klockować, zabierając parki z punktów „f—c". Kręcimy, przerabiamy i tworzymy punkt „j". Dalej parki z punktów „g—j" stworzą punkt „k". Parki z punktów „h—k" stworzą punkt „l". Parki z punktów „i—l" stworzą punkt „t", parki zaś z „i—l" stworzą „m". Czwarty rząd zaczniemy tworząc punkt „n", i zejdziemy skośnie na dół do punktu „o".

Gdyby ktoś chciał zrobić kilka metrów takiej wstaweczki, musi narysować wzór, tak długi, by objął całą poduszkę naokoło. Jeżeli papier kratkowany jest krótki, to skleja się dwa paski razem. Następnie podklejamy cały wzór grubym papierem rysunkowym, ale nigdy kartonem. A gdy wyschnie, owija się nim bardzo ciasno poduszkę. Uważać jednak należy, by wzór w punkcie spojenia dobrze wypadł. Najlepiej jeden koniec przykryć drugim i robić dwie zapinki klockowe, a w braku tychże kilka szpilek rzędem obok siebie.

Klockując naokoło poduszki, co jakiś czas wybieramy po trochę szpilek z roboty, jednak przed miejscem, gdzie klockujemy, należy zostawić szpilki w odstępie co najmniej 5 cm, bo inaczej robota na niby poszła. Klocki ściągnęłyby nici i popsuły wzór w koronce.





Wstawka z dziurek, wykonanych ściegiem zasadniczym.

Wzór B — schemat wstawki z dziurek, wykonanych ściegiem zasadniczym z ośmiu parek.

Wstaweczka z dziurek, ściegiem ozdobnym.

Na trzech szpilkach w punktach „a", „b", „c", zawieszamy po 2 parki na każdej szpilce (wzór 6). Przerabiamy każdy punkt osobno. By ściegi były silnie wyciągnięte odkładamy prawe parki z każdego punktu na tył poduszki, a lewe parki wiszą na przodzie. Różnica w robocie tej wstaweczki będzie ta, że przed i po wbiciu szpilki, będziemy robiły całe przerobienie. Szpilki więc we wszystkich punktach będą otoczone dwoma całemi ściegami zasadniczemi.

Zaczynamy klockować: Biorę prawą parkę z punktu „a" i lewą parkę z punktu „b", kręcę obydwie po 2 razy, przerabiam i wbijam szpilkę w punkt „d", ale nie między parki lecz pod niemi, a po szpilce przerabiam znowu. Prawą parkę odkładam, a do lewej dobieram drugą parkę z punktu „a", kręcę obydwie i tworzę punkt „e". Teraz lewa skrajna parka na górę a prawa wisi na przodzie poduszki i czeka. Zeszliśmy więc od góry po skośnej linji na lewo do brzegu.

Zabieram następnie prawą parkę z punktu „b", i lewą z punktu „c", obydwie kręcę po 2 razy, przerabiam i wbijam szpilkę w punkt „f". Po szpilce znów przerobienie. Prawą parkę odkładam na prawo, zaś do lewej parki dobieram parkę z punktu „d", kręcę obydwie i tworzę punkt „g". Następ-



Bogato wykonana koronka „idrja" z płócienka o mereżkowanym brzegu.



Na prawo: Pulowery wzbogaciły się o jeden model więcej, noszony z krótkimi rękawami. W flanelowych koszulach sportowych pojawiły się poprzeczne paski, utrzymane w żywych kolorach na ciemnem tle...

Na słonecznych plażach — w

Pisanie o morzu — o słonecznych plażach wydać się może paradoksalnem w obliczu panującego od pewnego czasu zimna i deszczowej aury. Nie możemy jednak zapominać o tem, że wkraczamy obecnie w okres intensywnych wycieczek morskich i lądowych, które w swych marszrutach wykazują niejedną miejscowość kąpielową, leżącą na zachodniem lub południowem wybrzeżu Europy, gdzie gorący uśmiech słońca bynajmniej nie należy do rzadkości. Zresztą i przepowiednie, związane z Medardem, który w tym roku spłatał nam przykrego figla, często nie sprawdzają się w całej swej rozciągłości. Legenda o czterdziestodniowych deszczach może równie dobrze dotyczyć tylko południowej części kraju, a cała północ, jak to zresztą miało miejsce dwa lata temu podczas powodzi, wygrzewać się będzie niczem kraj Faraonów. Dla tych więc, którzy nie stracili (mimo Medarda) nadziei spędzenia przyjemnych wakacyj nad morzem, podajemy tu kilka ciekawych szczegółów, odnoszących się do mody plażowej, może trochę ekscentrycznej, niemniej jednak wszechwładnie panującej nawet na... piaskach wybrzeży.

Opowiadał mi pewien mój znajomy zabawną historję, jaka wydarzyła mu się w związku z podróżą do Stanów Zjednoczonych. Oto jakiś nowobogacki z Tyrolu, który gdzieś w żurnalach i na rewjach mody filmowej widział jako „ostatni szyk" plażowy dla panów, białe czapeczki, zapożyczone z marynarki amerykańskiej, — o pretensjonalnej nazwie „Bobby-cap" wybrał się z mnóstwem takich okryć głowy na plażę w Miami. Jakież było jego zdziwienie, gdy swoim strojem wywołał... sensację! Bo, jak na złość, wszyscy Amerykanie nosili na plaży.. kapelusiki tyrolskie, tak spopularyzowane w modzie męskiej przez „wodza" faszystów austrjackich, ks. Starhemberga oraz obecnego króla Anglji, Edwarda VIII., który na ulicach Wiednia ukazywał się zasadniczo tylko w tych „tubylczych" kapeluszach.

Wogóle — gdyby ktoś wyznaczył premję za trafną odpowiedź: jakie nakrycie głowy stosowne jest na plaży? — rozstrzygnięcie tego konkursu naerafiało na poważne trudności. Na szykownej plaży bowiem można spotkać prawdziwą rewję najróżniejszych, czasem dziwacznych kombinacyj kapeluszowo-czapkowych. Od białego daszka— takiego, jakiego używamy zazwyczaj na tenisie — aż po prawdziwie hiszpańskie „sombrero" — można spotkać dosłownie wszystko. Modne ostatnio hasło polityczne „frontem ku kolonjom", przejawia się także w tem, że wielu panów nawet na plażach bardzo kontynentalnych, gdzieś nad brzega-



Na lewo: Na plażach nosi się coraz częściej hełm tropikalny, z powodzeniem konkurujący z różnemi beretami, czapkami, a nawet daszkami tenisowemi...



Na lewo: Shorty, noszone chętnie przez panów i panie, bywają przyozdabiane w różnokolorowe lampasy i otrzymały kieszenie, wprawdzie minjaturowe, ale zawsze już mogące pomieścić bodaj część plażowych rekwizytów...

shortach i tropikalnym hełmie

mi jezior, spaceruje dumnie w upalny dzień w hełmach tropikalnych.

Z jednej krańcowości —, w drugą. I tak w San Sebastian strój plażowy panów był mocno nieskomplikowany. Uniform był prosty: spodenki kąpielowe, gładko wypomadowana fryzura, wąsiki à la Douglas Fairbanks (t. zw. douglasówki), a ukoronowanie dzieła: monokl w oku na szerokiej czarnej wstążeczce.

Ten „strój“ miał także swoje... cienie. Oto panowie nie wiedzieli, gdzie schować swoje drobnostki, jak papierosy, fajkę, zapałki i monetę.

I na to znalazła się rada: Amerykańskie pismo satyryczne „Ballyhoo“ lansowało jako ostatni przebój plażowy torebkę celofanową, którą zapomocą saka gumowego można było bezpośrednio „przymocować“ do... opalonej skóry. Niestety ta nowość niebardzo się przyjęła.

To jednak nie wszystko: bo na drodze do plaży, lub z plaży należy jednak „coś na siebie włożyć“. Notujemy zwycięstwo szerokich ,przeważnie flanelowych spodni, które naciąga się wprost na kostjum kąpielowy. Kłopoty z paskiem — nieznośny ten przedmiot ciągle wykazywał intencję gubienia się gdzieś w wydmach piaszczystych, lub kabinach kąpielowych — przezwyciężyli wszechpomysłowi mistrzowie sztuki krawieckiej, którzy dbają o ułatwieine nam życia. Przyszyty do spodni pasek, widoczny jedynie z przodu, jest bardzo praktyczny, gdyż pomimo najlepszej naszej woli, nie możemy go zagubić.

Przy spodniach plażowych utrzymują się w dalszym ciągu spięcia z boku, gdyż zapewniają nam dobry fason spodni, a pozatem umożliwiają ewentualne wyrzeczenie się paska, zwłaszcza, gdy całą kolekcję w ciągu sezonu letniego gdzieś już, jeden po drugiem, zgubiło się czy zapomniało.

Paski — to rozdział sam dla siebie. Mogą być i skórzane i z materjału tego samego co spodnie, — ale najbardziej plażowe (nie twarzowe!) są paski z płótna lub z tego samego materjału, z którego robi się... popręgi przy siodłach — a wreszcie paski plecione. Dwa ostatnie gatunki umożliwiają nam dobór odpowiednich kolorów — czyto do koszulki polo, czy do marynarki.

A więc i marynarka? Tak jest. Zawsze jest ona potrzebna, a jeśli się jej nie nosi już na sobie, to zarzuca się ją z nonszalancją na rękę.

Marynarka musi być więc — pod ręką. Mamy tutaj wręcz nieograniczone możliwości. Przedewszystkiem tradycyjne „blazery“. Ten uniwersalny strój sportowy, stosuje się także doskonale na plażę. Blazer może być jednorzędowy — oto typ angielski — lub dwurzędowy, coś à la marynarka... marynarska. Cała gama kolorów znajduje zastosowanie przy blazerach; najprawdziwszym najbardziej autentycznym angielskim szykiem odznaczają się blazery paskowane, w barwach klubowych, lub pułkowych. — Ostatnio pomysłowi Anglicy znaczą swą przynależność klubową, czy pułkową także odpowiedniemi pasami w materjałach koszulek plażowych.

Oprócz blazerów, które podtrzymuje tradycja, cieszą się wielkiem powodzeniem krótkie żakiecki, lniane z... obciętemi rękawami. Do takich marynarek nosi się spodnie z tego samego materjału. Modne są w dalszym ciągu shorty, przyozdabiane kolorowym lampasem. Noszą je chętnie zarówno piękne panie, jak i panowie. O płaszczach kąpielowych pomówimy następnym razem.

Brummelll.



Na prawo: Wśród tej „dobranej piątki“ widzimy oryginalne shorty z przyszytym paskiem, bardzo praktyczne w noszeniu i jako nakrycie głowy szkocką furażerkę. — Obok klasyczny strój marynarski: granatowa dwurzędówka do białych flanelowych lub płóciennych spodni. — Bliżej oryginalna męska pyjama plażowa, składająca się dwurzędowej bluzy z krótkimi rękawami i spodni z lampasem, oraz beretu z tego samego materjału i w tym samym kolorze...

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

FRANCUSKA ZUPA BUŁKOWA. 4 bułeczki otarte z wierzchniej skórki, kraje się w płatki, nalewa $^3/_4$ litra wody, dodaje łyżkę deser. masła i nitkę szafranu i zagotowuje wśród ciągłego mieszania. $^1/_4$ l. śmietanki rozbija się z dwoma żółtkami, soli i pieprzy i podprawia zupę, podgrzewając silnie bez zagotowania. Zupa powinna być gęsta. Podaje się ją posypaną siekaną pietruszką i koprem bez żadnych dodatków.

ZUPA POZIOMKOWA Z WINEM NIE GOTOWANA. Z litra poziomek wybrać najładniejsze i odstawić, resztę przetrzeć przez sito, przelewając pół litrem wody przegotowanej, następnie dodać szklankę białego wina, łyżeczkę soku cytrynowego, 5 dkg cukru i troszkę startej skórki cytrynowej. Wymieszawszy, aby się cukier rozpuścił, wrzuca się odstawione wybrane poziomki i zamraża zupę na lodzie. Podaje się w kryształowych filiżankach, osobno biszkopciki.

SZPARAGI JAK GROSZEK (pointes d'asperges). Drobne szparagi oczyszcza się z łupki i łamie w małe kawałki, jak dalece się dają łamać. Inne części należy odrzucić, gdyż są drzewiaste i gorzkie. Drobne kawałki szparagów gotuje się w lekko osolonej wodzie z kostką cukru. Po ugotowaniu wyjmuje się je do zimnej wody. Z łyżki masła i tyleż mąki sporządza się jasną zasmażkę, zalewa wodą z pod szparagów, sprawdza smak co do soli i cukru, wkłada odcedzone z wody szparagi, zagotowuje i podaje otoczone ryżem lub krokietkami z bułki.

SAŁATA GŁÓWKOWA NA JARZYNĘ. Zdrowe wierzchnie liście sałaty, wymyte pod bież. wodą, rzuca się na wrzącą, lekko soloną wodę, gotuje 5 minut i odlewa na sicie. Białe środki sałaty parzy się wrzątkiem, nie gotując. Przelaną zimną wodą i wyciśniętą z wody sałatę, kraje się (nie sieka) na desce, wkłada do jasnej zasmażki z łyżki masła i mąki, podprawia paru łyżkami gęstej śmietany, zagotowuje i podaje obłożoną młodemi ziemniaczkami, jako osobne danie, lub też jako dodatek do sztuki mięsa.

SAŁATA GŁOWIASTA FASZEROWANA. 4 duże główki sałaty wymywa się dokładnie pod kranem wod., zalewa na misce wrzącą wodą, pozostawia w niej przez parę minut, aby liście zmiękły, następnie osącza z wody i dla lepszego osuszenia wykłada na czystą ściereczkę. Z 3 dkg grzybów ugotowanych i zmielonych na danie jarskie, lub 15 dkg mięsa, sporządza się z dodatkiem zasmażki na cebulce, żółtka i łyżeczki bułki tartej gęsty farsz, który się nakłada do środka rozłożonej na desce główki sałaty, zbiera ponad niem wierzchnie liście i związuje lub spina, aby tworzyły całość. 5 dkg masła daje się do rondelka, smaży w niem przez chwilkę pęczek zielonej pietruszki, wkłada następnie przygotowane główki sałaty, skrapia rosołem i dusi przez pół godziny, — podlewając rosołem. Zapomocą dziurkowanej łopatki wyjmuje się sałatę na półmisek, zdejmuje ostrożnie nitkę czy też spinacze i polewa sosem, w którym się dusiła, zaprawionym śmietaną. Makaron, ryż lub ziemniaczki jako dodatek.

SADZONE JAJA W FOREMKACH. W okrągłych aluminiow. lub porcelanowych foremkach rozpuszcza się po troszce masła, nakłada łyżkę siekanej szynki lub troszkę siekanych sardelek, wbija ostrożnie jajko i kropi masłem. Foremki ustawia się w większem naczyniu z gorącą wodą i stawia wszytko przykryte na kuchnię, aby się powoli przez 10 minut gotowało. W tym czasie powinny się jaja ściąć, tak, aby białko nie było płynne. Podaje się w foremkach, osobno mieszaną surową sałatę z wszystkiego, co nam wiosna daje, więc: jak teraz główkową sałatę, ogórka, liście porów lub młodej cebulki, pietruszki, selera i paru gotowanych ziemniaczków. Wszystko podprawia się sosem, utartym z twardego żółtka, oliwy lub śmietany, winnego octu, soli i cukru oraz łyżeczki musztardy dla amatorów.

PRZYSTAWKA RYBNA w muszelkach. Resztki gotowanego łososia lub karpia, parę sardynek, kilka szyjek rakowych pokrajać w kostkę, dodać 2 posiekane sardelki; wymieszać wszystkie dodatki z kilku łyżkami gęstego majonezu, nałożyć w muszelki i przybrać drobnemi listkami sałaty, piklami etc.

ORSZADA, ulubiony napój naszych prababek, bardzo orzeźwiający i pożywny, byłby zdaje się i teraz chętnie widziany przez osoby słabe lub zmęczone. Warto spróbować w małej ilości. Podajemy oryginalną, starą receptę. 20 sztuk sparzonych i obranych z łupki dużych migdałów utłuc w moździerzu bardzo miałko z dodatkiem paru kropel wody, aby zahamować wydobywanie się olejku z migdałów. Zupełnie roztłuczone na cienką masę migdały daje się na miseczkę, dolewa po troszce wody, dobrze wałkiem porcelanowym ucierając, aż się utworzy płyn, podobny do mleka, który się wyciska przez serwetkę do szklanki. Pozostałe migdały tłucze się znowu z wodą i wyciska. Powtarza się to tak długo, jak długo woda zabarwia się na mleczną. Napój tem słodzi się wkońcu wedle upodobania. Podaje go można ciepły lub zimny.

Szyc-Korska.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo
numer 24 z dnia 14-go czerwca 1936 roku.

CERAMIKA W MODZIE.



Wyroby ceramiczne nie schodzą niemal z działu drobiazgów domowych. Są okresy, gdzie ich produkcja się wzmaga i zapotrzebowanie z modą wzrasta, są też i takie, kiedy nie używa się ich zupełnie. — Oto jeden z modeli dla amatorów palaczy. Przybory do palenia z tonowanej ceramiki.

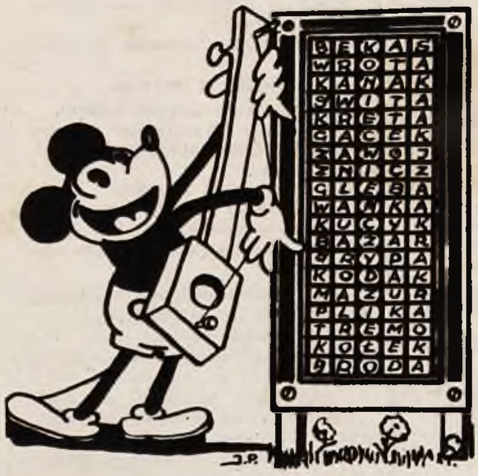
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 25 — **Czerwiec** — Dni 30
Niedziela **14** Bazylego	Zupa z młodych jarzyn z kluseczkami. Przystawka rybna w muszelkach. Kurczęta lub gołąbki na dziko z makaronem. Kompot z czereśni. Kruchy placek z pianką poziomkową. Kolacja: Zimny ozór wołowy z mizerją.
Poniedziałek **15** Wita i Modesta	Rosół z tartem ciastem. Sztuka mięsa z duszoną sałatą. Kotlety wiedeńskie z zieloną sałatą z ogórkami. Budyń grysikowy. Kolacja: Fondus, chleb, masło, rzodkiewka.
Wtorek **16** Justyny, Jolanty	Francuska zupa z bułek. Kalafior z masłem i bułeczką. Kurczęta w papryce z ryżem. Sałata. Parzone knedelki z czereśniami. Kolacja: Bukiet jarzynowy.
Środa **17** Adolfa	Zupa poziomkowa z grzaneczkami. Sałata głowiasta faszerowana. Mostek cielęcy, nadziewany młodemi ziemniaczkami. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Sadzone jaja w foremkach.
Czwartek **18** Marka, Marcelina	Barszcz z młodych buraczków. Szparagi lub groszek z ryżem. Polędwica wieprzowa z ogórkami. Krem agrestowy. Kolacja: Jaja w koszulkach w sosie śmietanowym.
Piątek **19** Gerwazego	Chłodnik ogórkowy. Rizotto z zielonym groszkiem. Białe ryby panierowane. Kalafior. Drożdżowy placek z serem. Kolacja: Młode ziemniaczki z kefirem domowym. ●
Sobota **20** Jakóba Str.	Rosół Julienne z płatkami. Sztuka mięsa w sosie szczawiowym z ryżem. Pieczona kaczka z sałatą i ziemniaczkami. Kompot z agrestu i czereśni. Kolacja: Sadzone jaja na szpinaku.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie zagadki literowej z Nru 23-go



Środkowe litery słów czytane zgóry nadół dadzą przysłowie: „Koniec wieńczy dzieło“.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

CUDOWNY DOM.

„Tak wybudowałem sobie dom“, pisze do redakcji profesor Magik, „że okna wszystkich czterech jego ścian wychodzą na południe“. Czy to możliwe?

URODZINY KAZIA.

Z okazji urodzin Kazia zebrało się trochę dzieci, które poczęstowano wspaniałym tortem. Tort został pokrajany na tyle części, ile było obecnych dzieci. Dwie piąte dzieci nie jadły tortu wcale. Troje dzieci dostało po dwa kawałki tortu, dwoje po trzy a jeden kawałek pozostał niezjedzony. Ile było wogóle dzieci na urodzinach Kazia?

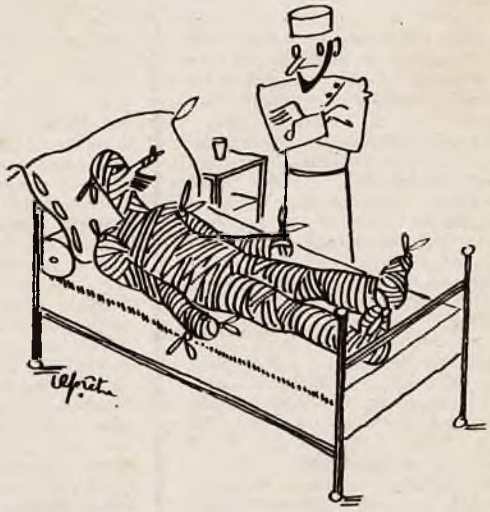
WIZYTA.

Hadżi Mahomet Hassan Ben Ali odwiedził swego przyjaciela Hadżiego Hassana Alego Ben Mahometa, znakomitego kupca bagdadzkiego, który pochwalił mu się dziesięcioma baryłkami drogocennego balsamu. Baryłki balsamu był ponumerowane zależnie od gatunku balsamu i ustawione na sobie w dwóch poziomych rzędach w ten sposób, że lepszy balsam oznaczony numerem niższym, był zawsze na lewo lub nad gorszym, tak że gatunek najcenniejszy, oznaczony numerem 1. musiał się zawsze znajdować w lewym górnym rogu. Hadżiemu Mahometowi Hassanowi Ben Alemu metoda ta bardzo się podobała, ale wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie jest dość duża ilość możliwych ustawień, spełniających powyższy warunek. Istotnie, jest ich 42 i proponujemy czytelnikom je odnaleźć.

ODWAŻNIKI.

Odważnik żelazny waży 13 kg. Jakiej wielkości należy z niego zrobić trzy odważniki, aby przy ich pomocy można było zważyć każdą liczbę kilogramów od 1—13?

ZROZUMIAŁE.



— To pan prowadził swój motocykl?
— No, oczywiście, przecież posiada on tylko jedno miejsce... **(Rire).**

HUMOR ZAGRANICZNY

FATALNE RADJO.



— O Boże, co za pech! Prawie byłbym wygrał 3 miljony, brakowało tylko dwóch cyfr! **(Rire).**

ZIMNA KREW PRZEDEWSZYSTKIEM!



— Pan już po raz drugi gra asa kier!
— No i cóż to szkodzi? **(Ric-et-Rac).**

NA SCENIE.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie dał niedawno bardzo ciekawą prapremjerę zabytku naszej literatury dramatycznej: dyr. Frycz wystawił po raz pierwszy w Polsce na zawodowej scenie moralitet **Jana Jurkowskiego z 1604 r.: „Tragedja o polskim Scylurusie i trzech synach koronnych Ojczyzny polskiej"**, w poetyckiej transkrypcji A. E. Balickiego.

„Tragedja o polskim Scylurusie" jest ciekawym utworem, w którym świat mitologiczny, postacie bóstw i herosów antycznych, łączą się przedziwnie pięknie z współczesnymi Jurkowskiemu przedstawicielami społeczeństwa. Postacie, zaczerpnięte z kultury antycznej, symbolizują także czyny i myśli obywateli z początku XVII stulecia. Pod postaciami trzech synów sędziwego Scylurusa, wyobrażającego Ojczyznę, przedstawia autor stan żołnierski, którego uosobieniem jest Herkules, naukę i filozofję, którą reprezentuje Diogenes, oraz przewrotność, zbytki i zniewieściałość, wiodące do zguby których wyrazicielem jest postać Paryża. Równocześnie w moralitet swój wplótł Jurkowski satyryczne intermedjum, odzwierciadlające życie społeczne i oświatowe ówczesnej Polsce.

Moralitet na swą epokę bardzo ciekawy i oryginalny, posiada dziś dla nas dużo wdzięku zarówno w swej naiwności i prymitywie postaci i scen, jak również w pierwszych objawach renesansowych feeryj teatralnych, które wkrótce po Jurkowskim do Polski przywędrują.

Dyr. Frycz, wystawiając ten zabytek polskiego teatru, przedewszystkiem silny nacisk położył na oprawę malarską i kostjumową widowiska, wiedząc, że to zadecyduje o najlepszem podaniu i zbliżeniu tego moralitetu do dzisiejszej publiczności. Oprawę malarską i kostjumową dał dyr. Frycz wspaniałą, co zgodnie podkreślili wszyscy sprawozdawcy teatralni, przytaczając, że publiczność oklaskami powitała dekoracje Karola Frycza. Dyr. Frycz równocześnie wyreżyserował moralitet niezwykle stylowo, zachowując jego swoiste piękno, prymitywizm średniowiecznego misterjum i barwność renesansowego widowiska. Z licznego grona wykonawców ról, pole gających przedewszystkiem na pięknej recytacji, wymienić należy Białkowskiego (Scylurus), Modzelewskiego (Herkules), M. Węgrzyna (Parys), W. Woźnika (Diogenes), W. Staszewskiego (Wielki Chwał), Szuberta (Orczykowski), Kaliszewskiego (Prolog), Kopczewskiego (Student). Piękną ilustrację muzyczną, opartą na starych motywach, opracował prof. U. J. Z. Jachimecki. „Tragedja o polskim Scylurusie" graną będzie w czasie „Dni Krakowa", a pierwsza polska komedja — opera „Krakowiacy i górale", przygotowana reżysersko przez Z. Nowakowskiego, wraz ze „Scylurusem", unaoczni publiczności początki polskiego teatru.

Równocześnie teatr krakowski gra najnowszą komedję **Bus-Feketego „Z miłości: niedostatecznie!"**, która zdobyła sobie duże powodzenie u publiczności. Bus Fekete szybko zdobył popularność, ale stwierdzić trzeba, że ostatnia jego sztuka świadczy, iż odcina kupony od swej popularności, nie siląc się na coraz to wyższy poziom swych dzieł. W komedji „Z miłości nie dostatecznie", będącej raczej wodewilem, opowiadającym dzieje trzech zakochanych dziewcząteк, dobrze grają główne role Suchecka, Bednarska i Matusiakówna, a z reszty wykonawców wyróżniają się szczególnie Brylińska, Białkowski, Kondrat, Modzelewski, Burnatowicz i Macherski.

Teatr Miejski w Wilnie wystawił dramat Ibsena „**Upiory**" w reżyserji M. Szpakiewicza. Dramat ten dość często wznawiany jest w Wilnie, gdzie różne jego interpretacje budzą zainteresowanie wielbicieli wielkiego pisarza skandynawskiego. Obecnie dramat grany jest w obsadzie: Oswald — Szpakiewicz, Matka — Żmijewska, Pastor — Szymański, Regina — Górska, Engstrand — Wołłejko. Krytyka wileńska podkreśla szczególnie wysoką klasę gry Żmijewskiej, której bolesna spowiedź w akcie I, czyni wstrząsające wrażenie. Zresztą wszyscy wykonawcy grają bardzo ciekawie i dobrze.

(b).

To warto poznać...

Drzeworyty „a chiaroscuro"

W Muzeum Narodowem w Warszawie otwartą jest obecnie ciekawa wystawa **drzeworytów włoskich**, wykonanych techniką „**a chiaroscuro**" (czarno-białe), która obejmuje blisko 200 eksponatów, przedstawiających dzieje tej techniki drzeworytniczej, jej powstanie, rozwój i upadek, a także naśladownictwo. Wszystkie eksponaty pochodzą ze zbiorów gabinetu rycin Bibljoteki Uniwersyteckiej w Warszawie; część z kolekcji króla Stanisława Augusta i ze zbiorów Stanisława Kostki Potockiego, a reszta pochodzi z umiejętnie skompletowanej kolekcji śp. Izydora Krzemickiego ze Lwowa.

Technika „a chiaroscuro" polega na otrzymywaniu efektów kontrastowego światłocienia przez nakładanie odbić dwu lub więcej desek, najczęściej 3 lub 4, z pozostawieniem jako światła białych plam papieru, na których wykonana jest odbitka drzeworytu.

Technika ta była bardzo popularna we Włoszech i doszła do wspaniałego rozwoju w pierwszej połowie XVI wieku. Dzieła wielkiego malarstwa włoskiego powtarzane wówczas były w drzeworycie barwnym, co przyczyniało się do ich rozpowszechnienia i znajomości wśród społeczeństwa. Technika ta przetrwała do połowy XVII wieku, a nawet jeszcze w XVIII wieku nastąpił jej renesans, który doprowadził do powtórnego zastosowania sposobu „chiaroscuro" w połączeniu zarówno ze zwykłym drzeworytem, jak i z akwafortą i miedziorytem.

Kraków w sztuce

Inauguracją „Dni Krakowa" było otwarcie wystawy obrazów w **Pałacu Sztuki**, odzwierciedlających **piękno Krakowa**. Wystawa obejmuje 296 dzieł 78 polskich artystów.

Kraków, to miasto malarzy polskich było tematem dzieł niemal wszystkich malarzy, którzy bądź to studjowali w tutejszej akademji, lub też przebywali w tem mieście przepięknem w zabytki architektury i sztuki. Wystawa jest niezmiernie ciekawa, ponieważ przedstawia impresje malarskie przepuszczane przez filtr różnorodnych artystycznych indywidualności, począwszy od Kotsisa poprzez Wyspiańskiego, Malczewskiego aż do Falata i Wyczółkowskiego, oraz falangi współczesnych młodych artystów, na których również działa sugestywną mocą piękny Kraków, święcący obecnie swoje dni.

(mdd).

NA NAJLEPSZEJ FALI

według programu nadesłanego przez Polskie Radjo.

Niedziela, 14 czerwca.

9.00: Transmisja nabożeństwa z Krakowa.
10.30: „W rytmie tańców polskich" (płyty).
14.30: Audycja dla wsi.
17.00: „100 taktów muzyki".
17.50: Słuchowisko oryg.: „Ostatni powrót".
18.20: „Kuzynek z Honolulu" — operetka w 3 aktach.
20.00: Koncert Chóru Związku Towarzystw Śpiewaczych i Muzyczn. Wojsk. Krakowsk.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
21.30: Recital fortepianowy Henryka Sztompki.
22.00: Tenisowe mistrzostwo Polski — transmisja ze Lwowa.
22.30: Muzyka lekka i taneczna z Ciechocinka.

Poniedziałek, 15 czerwca.

12.03: Koncert w wykonaniu zespołu salonowego Pawła Parysa.
15.45: „W co się będziemy bawili" — audycja dla dzieci młodszych (z Wilna).
16.00: Koncert popularny w wyk. Orkiestry Filharm. Warsz. z Ciechocinka.
17.30: Recital skrzypcowy Stefana Krajkemana.
17.50: „Lato w życiu myśliwego" — pogadanka.
19.30: „Wizyta u Kalmana" — feljeton.
20.00: „Nasza tytułomanja" — feljeton.
21.00: Koncert w wyk. Kwartetu Salonowego (z Krakowa).
21.30: Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.
22.15: Robert Schumann: Trio fortepianowe.
22.45: Muzyka taneczna.

Wtorek, 16 czerwca.

12.03: Muzyka operowa.
16.00: Koncert w wyk. Or. Salon. I. Raabego (z Poznania).
16.45: „Skarby Polski" muzyka polska — odczyt.
17.00: Koncert w wyk. Ork. Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).
17.50: „Kukułcze jajo" — pogadanka.
18.00: „Piosenki z ziemi lubelskiej" — wyk. chór szk. powsz. Nr. 9 z Lublina.
19.00: „Dawne piosenki" w wyk. Janiny Rosenberg - Schindlerowej.
20.00 Koncert w wyk. Orkiestry Marynarki Wojennej.
20.30: „Stanisław Wotkiewicz" — szkic literacki.
21.00 Koncert wieczorny.
22.15: „W rytmie raz dwa trzy" — koncert.
23.00: Muzyka taneczna (z płyt).

Środa, 17 czerwca.

12.03: Koncert muzyki lekkiej.
15.45: Teatr Wyobraźni: słuchowisko dla dzieci starszych: „Narodziny zegara".
16.15: Wiązanki jazzowe.
17.00: Recital śpiewaczy Lidji Barblan-Opieńskiej.
17.25: Edward Grieg: Sonata wiolonczelowa.
17.50: „Kat Napoleona na wyspie Św. Heleny" — pogadanka.
19.00: Muzyka lekka.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji".
21.00: II-ga audycja z cyklu „Kandydaci do Międzynarod. Konkursu Chopina".
21.30: Pieśni w wykonaniu Józefa Wolińskiego.
22.15: Koncert kameralny z Wiednia.

Czwartek, 18 czerwca.

12.03: Koncert orkiestry kameralnej z Wilna.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
17.30: Pieśni w wykonaniu Marji Dzikowej.
17.50: „Odżywianie w lecie" — pogadanka.
19.00: Premjera słuchowiskowa: „Mąż przeznaczenia".
19.30: Tajemnica „niedokończonej symfonji Schuberta" — reportaż.
20.10: Utwory na gitarę hawajską.
21.00: „Nasze pieśni" w wykonaniu Ireny Cywińskiej.
21.30: Recital fortepianowy Egona Petri.
22.05: „Sport w miastach i miasteczkach" (z Wilna).
22.15: Muzyka taneczna z kawiarni Ziemiańskiej w Łodzi.

Piątek, 19 czerwca.

12.03: Muzyka.
16.00: „Nokturny" — koncert.
16.45: „Skarby Polski" — „Archiwa i bibljoteki" — odczyt.
17.00: Gitta Alper i Imperio Argentina (płyty).
19.00: Koncert kameralny: Freidson: Kwintet na instr. dęte.
19.30: Duet harmonistów w wykonaniu Goska i Kaczyńskiego.
21.00: Koncert symfoniczny.
22.15: Muzyka taneczna z Ciechocinka.

Sobota, 20 czerwca.

12.03: Koncert w wyk. Ork. Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).
14.20: Koncert muzyki lekkiej.
15.45: „Żegnamy stary szkolny rok" — wesoła audycja dla dzieci.
16.45: „Światła i cienie Gdyni" — pogadanka.
17.00: „Zmodernizowany Strauss", radjoreportaż z płyt.
17.30: Utwory fortepianowe w wykonaniu Reny Den.
17.50: „Schronisko na Ostrowiu Lednickiem" — reportaż.
19.00: Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
19.45: Utwory Klaudyusza Debussy'ego.
20.10: Audycja dla Polaków zagranicą: „Wianki na Wiśle".
20.45: „Halka" — opera w 4 aktach (transmisja z Włoch).
23.30: Jazz melodyjny.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.